

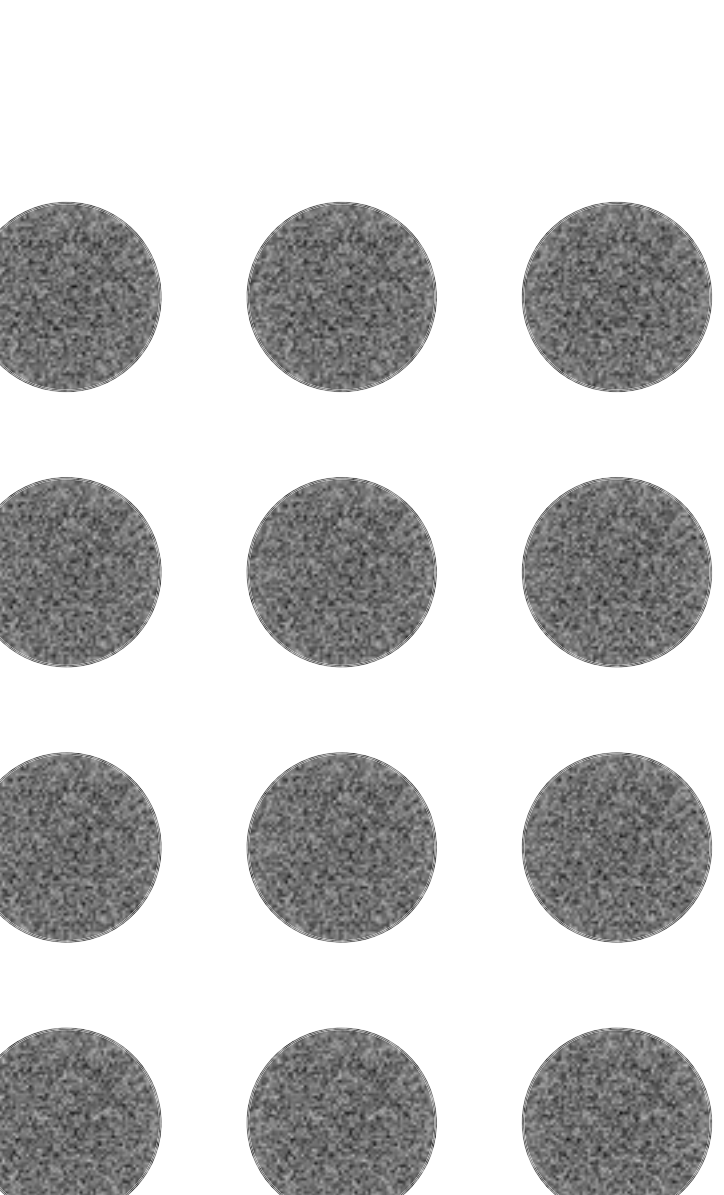
Śmiech, ton, jad

O czym myślimy, kiedy myślimy o literaturze? O spiżowym kanonie, który dryfuje w kulturze, „realistycznych” powieściach, które tak przeceniają nasze czasy? O swojskim komunikacie, który Gombrowicz opisał kiedyś jako „swój do swego po swoje”? A może o instytucji, zakamuflowanej w konwencjach i źle rozumianej poprawności? Pracę instytucji łatwo zlokalizować, przyglądając się choćby „produkcji” tekstów Franza Kafki, badając opór, jaki napotykają ci, którzy chcą przekładać i publikować Kafkę z faksymiliów, Kafkę sprzed ingerencji Maxa Broda, redaktorów i korekty: anarchistycznego, z przypadkową interpunkcją, fragmentarycznego, chimerycznego. Konfrontacja z „Prozami utajonymi” (pod takim tytułem opublikował swój wybór i przekład Łukasz Musiał) Kafki uświadamia nam działanie literackiego przemysłu, zanim w ogóle pomyślimy o mechanizmach marketingu i produktach rynku księgarskiego, który czasem przypomina miejski słup ogłoszeniowy: reklamy naklejone na reklamy, naklejone na reklamy, naklejone na reklamy. Tymczasem spoza instytucji, spoza systemu, idzie stale ożywczy impuls, niezogniskowany wokół dominującego idiomu: literatura, której terytorium rozpoznajemy dosłownie w toku lektury, niezidentyfikowana, zakłócająca manieryczną produkcję. Nie mamy skryptów interpretacyjnych, gotowych scenariuszy lektury i nasze kompetencje dopiero musimy wykształcić. Właśnie taki ruch – odkształcający zastany skład produktów – wykonują autorzy opowiadań, które zamieściliśmy w tej antologii.

Konkurs jest – poza sportową wspólnotą emocji rywalizacji – wydarzeniem ambiwalentnym, z gruntu niesprawiedliwym, przemocowym i w swej naturze arbitralnym, ostatecznie zwykle kończy się zarządzaniem niezadowoleniem. A jednak spójrzcie na tę książkę: gdyby nie konkurs – nie byłoby jej. Nie moglibyśmy śledzić żywego języka tych tekstów, ich wyjątkowego temperamentu, ryzyka, jakie podjęli autorzy i autorki, napięć, jakie wytworzyło zestawienie w jednej książce tak różnych pomysłów na opowiadanie. To formalnie nowatorskie, posługujące się różnymi rejestrami opowieści, w których punkty ciężkości, proporcje, rozłożone są w różny sposób i często idą wbrew czytelniczemu przesądowi, czy przyzwyczajeniom. Bo skąd pomysł, że najważniejszy w tekście jest „porządek”? Że tekst musi złapać balans? Że przekaz musi być unieruchomiony po stronie jednoznaczności (intencją autora może przecież być utrzymanie dwóch przeciwnych sobie wektorów, czy komunikatów)?

„Rewitalizacja sygnalizatora świetlnego przy skrzyżowaniu ulic północnej i wschodniej raport prekariusza” Pawła Sablika to satyra społeczna, która śledzi kolokwializmy „świeckiego” języka i przedrzeźnia sztuczne języki kapitalizmu. Wykazuje przy tym wrażliwość społeczną, pozostając tekstem dowcipnym, błyskotliwym i wyczelowanym formalnie. Można więc powiedzieć, że podobnie jak jego bohater – autor „wykonywał swoją pracę jak należy”, a nawet więcej: „sam będąc samozatrudnionym zgodził się dokonać usterki która to wykraczała poza obszar obowiązków zapisanych w kontrakcie pracownika”. Literatura jako usterka – przecież to ciekawsza definicja niż jakakolwiek inna. Jeśli usterka zwraca uwagę na ważny element rzeczywistości, jeśli domaga się działania i wreszcie – w mniejszym czy większym stopniu – jest katalizatorem zmiany – to warto się jej przyglądać. A że tekst jest przy okazji bojowy i dowcipny? To tylko dobrze robi usterce. Powiem tak: nieźle by było, gdyby Paweł Sablik był mocno reprezentowany w tak zwanym literackim obiegu. Opowiadanie Michała Krysiaka „Judasz” jest sprawozdaniem ze stanu polskiej gościnności. Satyra i absurd, które zwykle komplikują odbiór tekstu i tworzą transparentną barierę dystansu – tym razem służą wyostrzeniu komunikatu. Tekst jest ufundowany na grze pomiędzy znaczeniami i symboliką słowa judasz / Judasz, które zmienia się w zależności od kontekstu, wchodzi w dialog z własną historią i bada swoją polityczność na planie polskiej rodziny. Ale wskazanie krytycznego temperamentu opowiadania tylko częściowo oddaje jego wartość. Autozwrotny, silnie zrytmizowany tekst stale zmienia nasz kierunek skojarzeń, dlatego musimy być czujni podczas tej demonicznej Wigilii, na którą nas Krysiak zaprasza. Przemysław Zańko [Polacy weszli...] stałby po stronie Franza przeciwko instytucji. Jego tekst jest autorskim, konceptualnym eksperymentem formalnym, dodajmy, znakomitym (co ci teraz zostało do obrony, literaturo, instytucjo)? Nie znajdziesz (nie nazwiesz?) błędu w tekście, który jest stylizowany na wojenne sprawozdanie, w którym powracają skreślenia otwarte, jakbyśmy czy-

tali chłopski dokument, który ktoś pośpiesznie przygotował, ktoś inny (jednak) ingerował (powracająca formuła „[nieczyt.]”), przekazał, a teraz my czytamy, ustawieni w roli, niepewni swego, ale pełni szacunku, rozśmieszeni i już sprzedani za talent, rozmach, ton, rytm. Żeby efektownie dekonstruować dokument historyczny i tak pięknie przetworzyć etos, trzeba mieć nie tylko dobre narzędzia, ale i świetną taktykę. Nie można też źle skończyć, jeśli się zaczyna tak jak Sabina Antoniszczak: „Goryl Marian uciekł z laboratorium, zmarznięty wsiadł do autobusu 173 Azory – Nowy Bieżanów i pojechał do domu towarowego Jubilat”. Autorka jest wysoko wyspecjalizowaną laborantką, która precyzyjnie chwyta naczynia krwionośne współczesnego języka i wrzuca je do metalowej nerki, a potem trzęsie się nad nimi ze śmiechu. Jej opowiadanie „Naczelny” to właśnie takie laboratorium, w którym świat okazuje się baletnicą bez głowy i majtek: można nad nią płakać i można z nią tańczyć. Kuba Kapral natomiast w tekście „Jak Bajman Krystek Jasnej Góry przed lewiatanów niecnym napadnięciem bronił, opowieść prawdziwa” przedstawia historię straszliwszej „ode z palca wyspanych kowidów” zarazy: historię demonicznej „levacco”, która narodowi polskiemu nawet rodzimą produkcję rumaków popsowała. I jasno pokazuje, że języki nienawiści „głównie z lewa jady sączą”. Nikt tak precyzyjnie jak Kapral, nikt tak przenikliwie i nikt tak trafnie nie sportretował polskiego patriotyzmu, który przejawia się w wyborze stacji benzynowej oraz w ataku na siły obce, które nam próbują wykraść słowa polskie, nazywając (podstępnie) hot dogiem naszą rodzimą bułkę z kiełbasą. I może to w jego tekście leży zaszyfrowana instrukcja, jak odzyskać Jasną Górę polskiego języka dla Polaków? Stay tuned! (O przepraszam). Każda antologia, każda składanka i każda książka z wierszami, ma swój moment zmiany rytmu. Takim momentem jest tu opowiadanie Michała Kaźmierczaka „O babkowym czekaniu”. Tekst, przy którym możecie Państwo wyrównać oddech i ponasłuchiwać, jak to się czasami robi, czytając kameralne, ale mitotwórcze opowieści o cudzym życiu, w których wybrzmiewają czyjeś kroki, skrzypienie drewna i śniegu. Tylko w ramach takich opowieści mogą paść słowa, których nie wypowiedzielibyśmy kiedy indziej, ze strachu i wstydu: wszystkie spóźnione albo przedwcześnie i jakby z innego czasu, języka. Zmienacka zaczynają pracować na wspólny efekt, jakąś poetykę, w której redukcja fabuły do kilku gestów i obrazów, ma swoją uniwersalną siłę. Zbliżamy się do końca, instytucjo, literaturo. Przedostatnim opowiadaniem w książce jest „Komiks” Roberta Treścińskiego, tekst, który ma zupełnie inne ustawienia i przemieszcza rozmowę o literaturze w kontekst oporu, opozycyjności, rebelii. Ciekawa, splątana forma, w której komiksowy temperament przenicowuje konwencję gazetowego kryminału, a styl młodzieńczej opowiastki zmienacka metaforyzuje się i przejmuje opowieść o literaturze (?) jako zbuntowanej Karolinie, która wie coś więcej – pozwala czytać opowiadanie na kilku poziomach. Antologię spektakularnie kończy „Czajka” Mateusza Kłodeckiego, apokaliptyczny tekst o śmierdzącym zamachu na miarę ziemi, tej ziemi. Oto z telewizyjnych nagrań, przecieków oraz zeznań czytelnik może nie tylko zrekonstruować (i przeanalizować) warunki społeczne, które doprowadziły do czynu, tego czynu, ale także dowiedzieć się, czym grozi i skutkuje pogarda klasowa. Oraz nieudzielenie podwyżki osobie w potrzebie. A że - jak pisze bohater „Czajki” - „w beczce śmiechu urwało się dno”, lekturze towarzyszy wprawdzie śmiech, nasz śmiech, lecz jest to, by tak rzec, uśmiech podwójny, z treścią, krytyczny i dwuznaczny. Bo to chyba całkiem zasadne, żeby na serio zacząć się bać: czuję, że wśród nas żyje niejeden Marian Czajka, który może w każdej chwili sprawić, że gównem popłyną z kranów wprost na nasze odpucowane umywalki. I będzie to nasza wina.



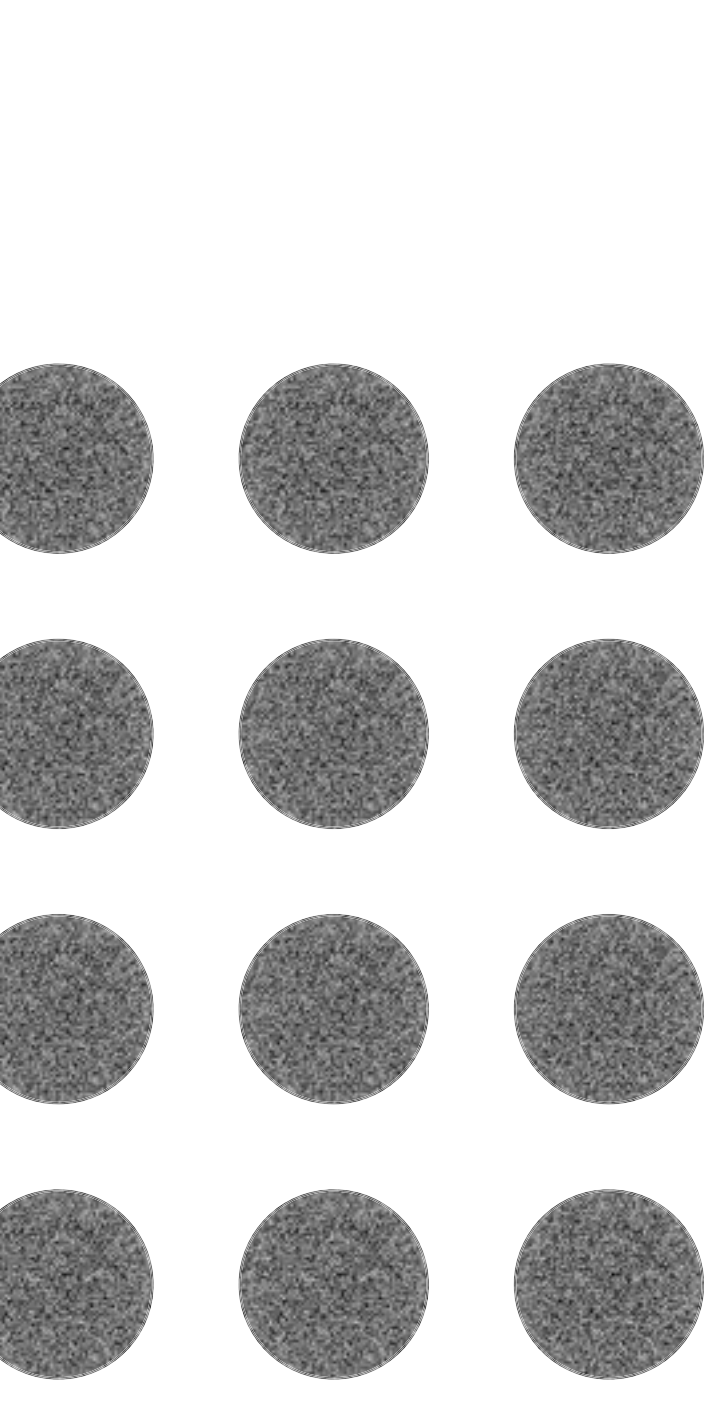
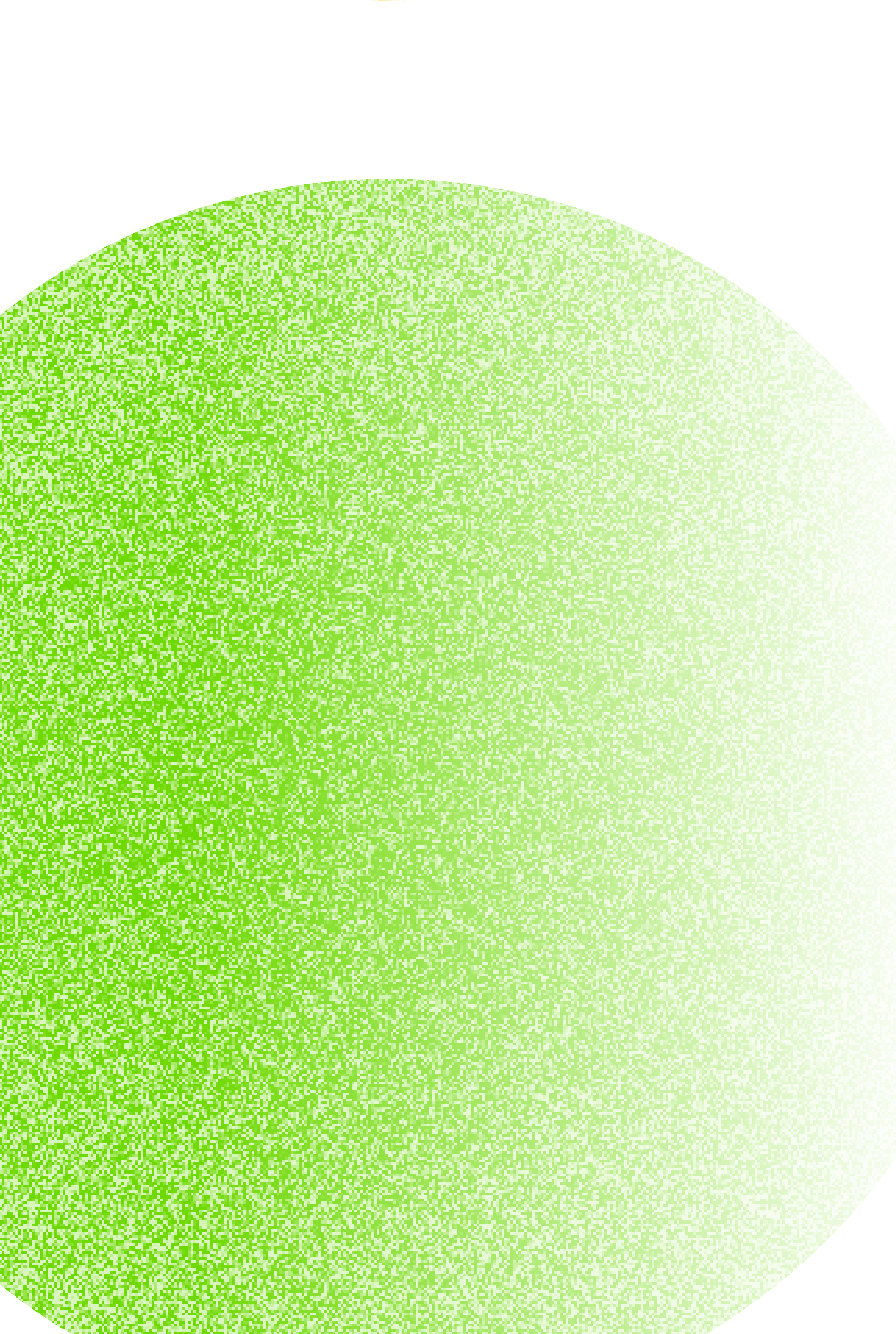
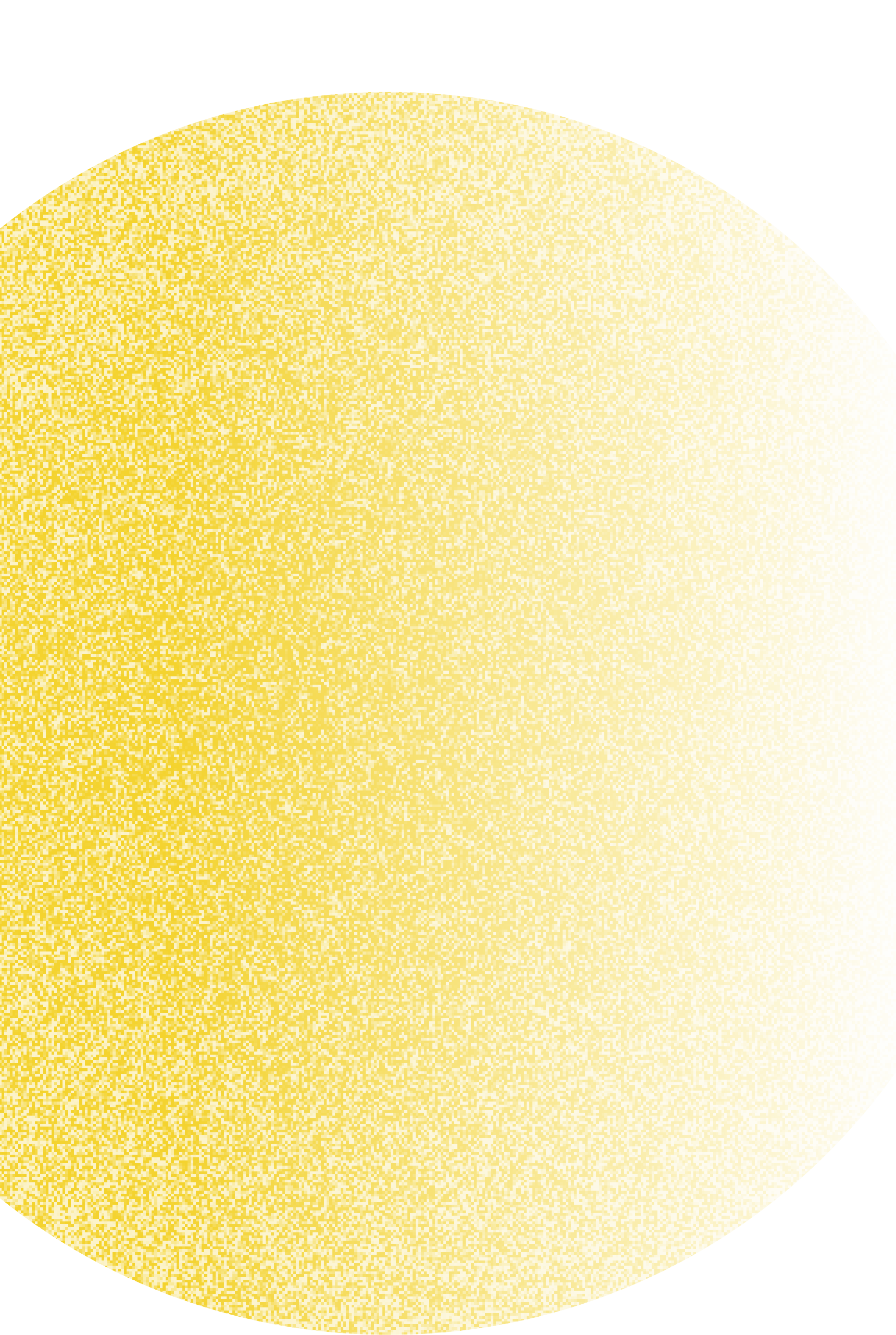
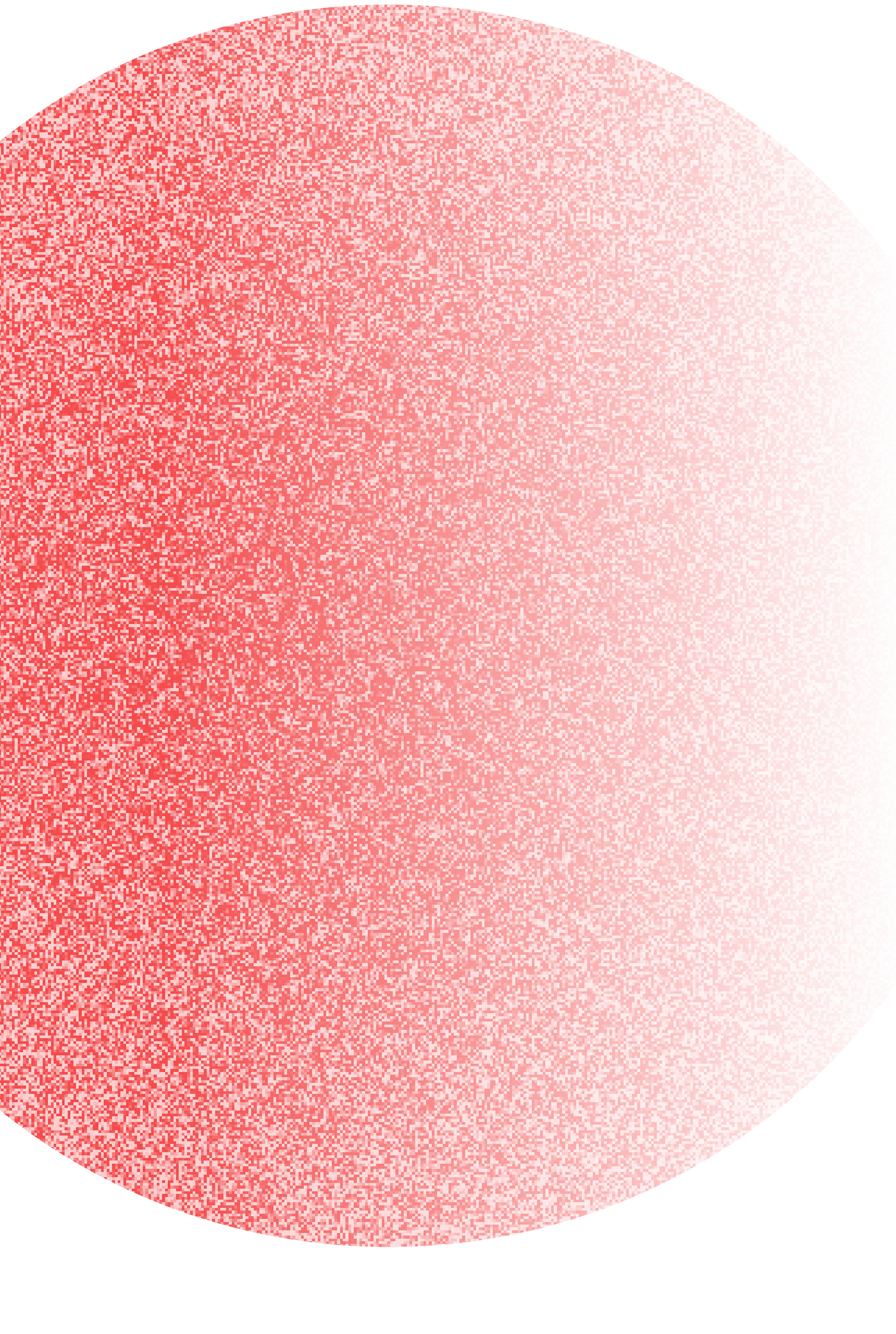
rewitalizacja sygnalizatora świetlnego przy skrzyżowaniu ulic północnej i wschodniej raport prekariusza

piszę to z potrzeby podzielenia się tym co spotkało mnie latem ubiegłego roku gdy wykonywałem swoją pracę jak należy przy skrzyżowaniu ulic północnej i wschodniej kiedy to zostałem poproszony o wykonanie drobnej usterki sygnalizacji świetlnej w zastępstwie za mojego brygadzystę który w tamtym czasie dochodził do pełni zdrowia i sił na tygodniowym zwolnieniu chorobowym przysługującym mu ze względu na umowę o pracę z dodatkiem ciągłości zatrudnienia obejmującym piętnastoletni nieprzerwany staż w wysokości dziesięciu procent wynagrodzenia wypłacanym comiesięcznie odprowadzanym od stawki podstawowej brutto gdzie z przysługujących mu na rok w pełni płatnych dni czternastu pozostało mu jeszcze siedem dodatkowych z których nie skorzystał ponieważ był człowiekiem sumiennym i pracowitym bardzo dobrym fachowcem który często dzielił się swoimi spostrzeżeniami w tematach zawodowych oraz służył przemyślaną i trafną poradą sam będąc samozatrudnionym zgodziłem się dokonać usterki która to wykraczała poza obszar moich obowiązków zapisanych w kontrakcie pracownika natomiast nie wychodziła poza że tak powiem wachlarz moich umiejętności jako technika elektryka i elektronika pasjonata na co dzień zajmuję się usterkami sygnalizatorów świetlnych oraz lamp ulicznych z czego zakres moich obowiązków nie wychodzi zazwyczaj poza wymianę żarówek bezpieczników i przewodów wewnątrz samego aparatu sygnalizatora świetlnego nie mylić ze słupem tym zajmują się już inni pracownicy ponadto okazjonalnie pomagam jako dyplomowany słupolaz w montażu lub demontażu linii wysokiego napięcia w obszarze miejskim w tym punkcie dla pasjonatów zawodu dodam że niestety w swoim doświadczeniu nie mam pracy przy modernizacji trakcji linii kolejowych kiedy dotarłem na miejsce autobusem komunikacji miejskiej o numerze dwa tysiące sto trzydzieści siedem wcześniej w biletomacie kupując bilet normalny na strefę pierwszą czterdziestominutowy wydrukowany już skasowany z całym potrzebnym oprzyrządowaniem oraz nowym przyciskiem sygnalizatora świetlnego pozwalającym użytkownikom chodnika na przywołanie zielonego światła dla pieszych a czerwonego dla kierowców tak aby bezpiecznie przejść na drugą stronę ulicy niezwłocznie przeszedłem do wykonania zleconego mi zadania wymiany niedziałającego urządzenia skierowałem się w stronę słupa sygnalizacji świetlnej następnie wyciągnąłem z torby śrubokręt z małą płaską końcówką i zacząłem odkręcać kolejno pierwszą drugą trzecią i czwartą śrubkę pojemnika na elektronikę przycisku zmiany świateł po czym zdemontowany niesprawny sprzęt odłożyłem do torby na odpady i wyjąłem nowy do którego z worka ze śrubkami wybrałem takie o odpowiedniej średnicy następnie trzymając je w rękę przyłożyłem przycisk w odpowiednie miejsce na słupie sygnalizatora świetlnego włożyłem pierwszą śrubkę którą przykręciłem zabrałem drugą śrubkę i w tym właśnie momencie przycisk upadł na ziemię co spowodowało pęknięcie do tego stopnia że elektronika znajdująca się we wnętrzu opakowania wypadła na zewnątrz w związku z czym moim oczom ukazała się lampka tutaj powinienem przedłożyć faktyczną konstrukcję i mechanizm przycisku która różni się od tej którą wyobrażać może sobie ktoś kto z przycisku korzystał i chciał poświęcić chwilę swojej codzienności na zastanowienie się nad zasadą działania mechanizmu zmiany sygnalizacji świetlnej dla pieszych w powszechnym wyobrażeniu na temat działania przełącznika sygnalizacji świetlnej ze względu na żądanie uczestnika ruchu pieszego który chciałby zmienić stronę jezdni wzdłuż której się porusza uchodzi że przycisk który pod naciskiem dłoni po upływie kilku sekund dokonuje zmiany światła z czerwonego na zielone co umożliwia pieszym przekroczenie jezdni skonstruowany jest bez względu na swoją datę produkcji czyli bez względu na swój model jako taki który pod wpływem dotyku wciśnięcia lub przyłożenia z odpowiednim natężeniem nacisku dłoni na wierzch spód brzeg bok lub górę opakowania na którym znajduje się przełącznik powoduje wysłanie sygnału do sygnalizatora który to następnie przełącza światło dla użytkowników przejścia dla pieszych z czerwonego na zielony wcześniej zmieniając tryb sygnału świetlnego dla kierowców z zielonego na czerwony w międzyczasie w większości modeli wyświetlając pieszemu komunikat czekaj lub stop w kolorze czerwonym na powierzchni lub ekranie przełącznika w związku z tym wystąpienie lampki w pojemniku na elektronikę przycisku zmiany

światał który uległ ze względu na zły dobór śrubek uszkodzeniu w zderzeniu z nawierzchnią chodnika nie powinien dziwić nic bardziej mylnego podnosząc uszkodzone opakowanie dokonując oględzin zniszczonego sprzętu zauważyłem co następuje oprócz żarówki w kolorze czerwonym wraz z baterią z małym panelem fotowoltaicznym umożliwiającym jej ciągłe działanie i płytki odbierającej nacisk wciśnięcia przycisku wysyłającego sygnał do lampki aby ta się włączyła nie znalazłem żadnego potrzebnego okablowania które należałoby podłączyć do sygnalizatora w dalszej kolejności udałem się do słupa gdzie w miejscu w którym powinien znaleźć się przycisk zmiany światła nie zauważyłem żadnego otworu oprócz czterech miejsc wywierconych na śrubki który umożliwiałyby połączenie pojemnika z przełącznikiem z sygnalizatorem świetlnym więc okrążyłem słup dokonując dokładnych oględzin w poszukiwaniu wady w jego konstrukcji której ostatecznie nie udało mi się zlokalizować w związku z czym skonsternowany przystanąłem ze śrubokrętem i omawianym urządzeniem w rękę po drugiej stronie skrzyżowania zauważyłem jak starsza kobieta podchodzi do sygnalizatora i wciska przełącznik po kilku sekundach światła zmieniły się a starsza pani ruszyła w kierunku drugiej strony jezdni ten widok mnie nie uspokoił wręcz przeciwnie poczułem się bardziej dezorientowany i zagubiony postanowiłem więc przejść na drugą stronę ulicy w celu rozkręcenia sąsiedniego przycisku do zmiany światła aby uspokoić rosnące we mnie poczucie braku integralności ze światem i dekonstruującego się na moich oczach systemu którego byłem częścią w związku z czym byłem zmuszony odczekać kilkanaście sekund aż sygnalizator zmieni sekwencję światła z zielonego dla kierowców i czerwonego dla pieszych na zielone dla pieszych i czerwone dla kierowców po kilku chwilach dokonywałem już penetracji drugiego przycisku starając się nie dopuszczać do siebie myśli w których negatywnie oceniałem swój profesjonalizm wypracowany wieloletnią bezproblemową praktyką lub nie słuchałem głosu autokrytyki zwracającego mi uwagę na bezsens inwestycji którymi przez lata wzbogacałem swój warsztat elektryka poprzez szkolenia weekendowe lub kursy których koszty teraz na nic się nie opłacały trzymam drugi przełącznik w dłoni

drży jakby ściekała po niej krew a w drugiej ścisłkam śrubokręt ta gotowa jest kontynuować rewoltę dokładnie sprawdzam wewnątrz urządzenia jest puste przetarłem dłonią miejsce na słupie w którym powinien być otwór na okablowanie nie ma go wypuszczam z dłoni urządzenie roztrzaskuje się nie zważając na wszystko przechodzę na drugą stronę ulicy do kolejnego sygnalizatora słyszę piski opon klaksony ktoś na mnie krzyczy rzucam się na słup odkręcam śrubki jak maszyna jak pomyłony drzę odkręciłem pierwszą drugą resztę bagatelizuję odrywam od słupa w którym nie ma dziury na połączenie z przyciskiem którego wewnątrz nie skrywa nic prócz czerwonej lampki ktoś krzyczy na mnie odwracam się to mój brygadzysta patrzę na niego lecz nogi niosą mnie dalej idę wzdłuż ulicy wschodniej mam przewagę nie ze względu na moją kondycję czy stan zdrowia znacznie lepszy niż ten brygadzysty który właśnie czeka na pasach aż będzie miał zielone przyspieszam kroku nie wiem jak to się stało że biegnę rozluźniam dłoń zapominam że jest w niej przycisk macham śrubokrętem na taksówkę ta zatrzymuje się mówię centrum kierowca rusza niemalże natychmiastowo z okna widzę machającego w naszą stronę pokasłującego brygadzystę któremu z rąk wypadają rozmontowane przeze mnie urządzenie które następnie niezgrabnie zbiera minęliśmy kilka przecznicy wysiadam ściśle centrum po plecach spływa mi pot dłonie są zimne oczy mnie pieką od wewnątrz jak wtedy gdy za dziecka miało się wysoką gorączkę nie wiedząc co to do końca znaczy przecinają mnie szpalery ludzi z neseserami aplikacjami randkowymi okularami vr elektrycznymi hulajnogami i długami podchodzę do najbliższego sygnalizatora gdzieś wysoko świeci szyld coca-coli a ja wyciągam już czwartą śrubkę i osuwam się na chodnik nad moją głową i po drugiej stronie ulicy wyświetla się zielony człowiek robiący swój pierwszy krok ludzie idą do pracy do banku po pożyczkę na lepszą przyszłość na casting sprawdzić czy są w danym typie idą pamiętam w domu rodzinnym miałem swój pokój gdzie widok zza okna kierował się na górską alejkę niskich pagórków rosnących ku ledwo kilku setkom metrów nad poziomem morza a z balkonu było widać wierzby które w wietrzny wieczór stawały się ścieżką dźwiękową do baśni czytanych pod pościelą z latarką w rękę w łóżku w pokoju który lubiłem na tyle że nie chciałem by ktoś mógł odebrać mi poczucie własności tego miejsca tak bardzo że od kiedy pamiętam co roku odmawiałem prezentów z wszelkich okazji w zamian prosząc o drzwi z zamknięciem na klucz tak aby mógł on symbolizować akt własności mojego pokoju a przekręcenie

zamka stawało się deklaracją o potrzebie czasu w samotności błogich kontemplacji i spokojnego mnożenia wariacji światów wyobrażonych w których mogłem być jaki tylko chciałem bez obowiązku konfrontowania swoich ukrytych pragnień i lęków rozwiązań i węzłów przytaknień potknięć negacji i powstań wewnętrznych rewolucji i paktów pokojowych ze światem zewnętrznym i jego bezwzględnymi szponami świadomości z dniem piętnastych urodzin rodzice radośnie obwieścili mi zamontowanie w futrynie nowych drzwi do mojego pokoju wręczając mi przy tym klucz który od razu gdy go pochwyciłem włożyłem do zamka po drugiej stronie zamykając się od środka i od tego momentu czułem bardzo dokładnie jak moje ja stanowi o sobie że od teraz wszystko co postanowię nie zostanie przez nikogo ocenione bo mogłem poddać się bezgranicznie perwersjom sentymentom żalom płaczom uniesieniom idealistycznych pragnień tym białym mrzonkom i wstydlivym pragnieniom wszystkiego co dla mnie dobre tego żeby poświęcić czas sobie i myśleć tylko o własnej wartości tak aby z dnia na dzień stawać się kimś dla siebie samego ważnym i wartościowym to poczucie trwało bezustannie przez około trzy lata kiedy to po kłótni z rodzicami wszedłem do swojego pokoju zatrzasnąwszy za sobą drzwi przekręcając klucz dwa razy i pozostawiając go w zamku krzyżąc przekleństwa i obelgi rzuciłem się na łóżko a zaraz za mną do pokoju z impetem wpadła matka dekonspirując przy tym wymontowanie rygla z drzwi przed sprezentowaniem mi ich na piętnaste urodziny że też wtedy nie sprawdziłem czy ta sprawczość której tak pragnąłem faktycznie nią jest czy też potrzebną mi wtedy uludą pamiętam jeszcze jak byłem chłopcem kładłem się obok ojca przykładając głowę do jego proletariackiego brzucha i uchem wlepiąłem się gdzieś w okolicy pępka słyszałem wtedy jak w jego żołądku coś się przelewa myślę że to była rewolucja przemysłowa
myślę że to był strach przed jutrem
myślę że to byłem ja
myślę że to było samostanowienie
myślę że to był skutek a nie przyczyna
myślę że to było mi potrzebne
myślę że to było miejsce gdzie się wszyscy znamy
myślę że to był ustrój polityczny
myślę że to było i że to będzie
myślę że to był wyrzut sumienia
myślę że to były moje potrzeby pierwszego stopnia
myślę że to było spojrzenie oka
myślę że to będzie nowy porządek





Judasz

Niespodziewany gość w tym roku nie przy-szedł. I dobrze! I tak byśmy go nie wpuścili. Po tym, co zrobił w zeszłym roku, może szukać sobie nowego domu, a my możemy szukać sobie nowych gości. Tylko nie takich, których wybiera się przy pomocy judasza.

Babcia zawsze powtarzała, że żaden Judasz nie wyjdzie na ludzi, chociaż ludzie wychodzą czasem Judasze. Musimy być ostrożni, żeby znowu nie wpuścić takiego do domu. Inaczej znowu trzeba będzie szukać nowych talerzy i sztucców, nowej choinki, nowych bombek i obrusu. A ja przede wszystkim znowu będę musiał szukać nowej babci. Ta stara, jeśli wierzyć matce, poszła do nieba, choć ja widziałem tylko, jak idzie do piachu.

Zakopali ją koło dziadka, choć dla mnie dziadek był już wtedy tylko kawałkiem kamienia. Trochę za dużym, żeby bawić się nim w piaskownicy albo puszczać kaczki i trochę za małym, żeby móc na nim usiąść. Dziadek w formie kamienia ani trochę nie przypominał kamieni, którymi zawsze bawiliśmy się razem. I jeśli dobrze rozumiałem mamę, taki sam los czekał babcię. Choć babcia nigdy nie umiała się bawić. Ani kamieniami, ani zabawkami. Nawet jeśli zawsze mi je zabierała, Bóg jeden wie, w jakim celu.

Kiedyś zabrała mi samochodzik i dopiero po pół roku znalazłem go koło zdjęcia papieża w jej pokoju, chociaż babci już w nim nie znalazłem.

Został po niej tylko ołtarzyk, stareńkie jak sama babcia meble, trochę nowsza ława i wyciurana kanapa. Ta sama, na której uczyła mnie grać w wojnę. Sama ją przeżyła. Choć inną niż tę, która toczyła się między naszymi połówkami talii. Zupełnie inną wojnę niż ta, która była między naszą dwójką. Tak przynajmniej mówiła mama.

Mama mówiła różne rzeczy. Mówiła, że bym nie chodził boso po pokoju albo nie wkładał ręki w majtki. Jedną z tych, które zapamiętałem najlepiej, było, żeby cieszyć się życiem i być szczęśliwym, żeby zawsze mieć uśmiech na twarzy i zarażać uśmiechem innych, choć mama mówiła to mając na twarzy wszystkie możliwe uczucia poza szczęściem i zarażając mnie absolutnie wszystkim tylko nie uśmiechem.

Chodziłem przez nią po pokoju smutny, głodny i bez pantofli. Gapiłem się bez celu w sufit lub dywan. Nie policzę, ile razy ktoś wylał na ten dywan kawę w ciągu moich dziewięciu lat życia. Nie policzę, ile much zginęło zlepionych z sufitem. Nie policzę, ile razy zapytałem mamę, kiedy w końcu zaczniemy wigilijną kolację, ani ile razy babcia odklepała w wigilię różaniec. Nigdy się z nim nie rozstawiała, tak jak z okularami, bez których nie widziała nic poza czubkiem własnego długiego i garbatego nosa.

Ja zatykałem swój przed zapachem jedzenia i przełykałem ślinę, czekając na kolację zniecierpliwiony. Kiedy wreszcie stół zapełnił się jedzeniem, ktoś zadzwonił do drzwi. Zupełnie jakby czekał, aż wszystko będzie gotowe.

– Pewnie sąsiad – powiedział ojciec.

– Sąsiad, każdy wie – odezwała się babcia – skrzyżowanie noża z węzłem.

Ale nie sąsiad pojawił się za okiem judasza. Za okiem judasza pojawił się, jak mówiła babcia, Judasz we własnej osobie. Nieznajomy. Gość. Bezdomny. Biedak. A babcia, odkąd tylko przeszedł przez próg pokoju, powtarzała zawzięcie: Judasz. Babcia od pierwszego spojrzenia przyjęła postawę warczącą, jak pies nieufnie skulony, który łypie pod sklepem na przechodniów. I tak powtarzała między jedną łyżką kapusty a drugą.

– Śmierdziel! Pijawka! Boga się nie wstydzi! W Wigilię nachodzić człowieka!

Stanął przed nami w czarnym swetrze, czarnych spodniach i czarnych butach. Musiałem opieprzyć ojca, bo mi nigdy nie pozwalał wchodzić w butach do pokoju i matkę, bo nigdy nie chciała kupować mi czarnych rzeczy. W tym roku, wiem, bo znalazłem ukryte w szafie prezenty, kupiła mi kolorowe swetry i koszule. Wyjątek zrobiła przed pogrzebem babci. Ubrała mnie w garnitur, który w sklepie leżał wygodnie jak piżama, a dwa tygodnie później na cmentarzu uwierał, gdzie tylko mógł. Gdyby nie biały kołnierzyk i mój niski wzrost, wyglądałbym jak nasz gość na zeszłorocznej Wigilii.

Przez niego pominęliśmy dzielenie się opłatkiem, bo nikt nie chciał składać życzeń Judaszowi. I dobrze! Cieszyłem się, że nie musiałem składać życzeń babci, bo jej zbyt czerwona szminka poza wielkimi śladami całusów zawsze zostawiała na mojej twarzy obrzydzenie. W tym roku też nie muszę tego robić, chociaż muszę złożyć życzenia mamie, a jej usta stają się coraz bardziej babcine.

Usiedliśmy od razu do stołu i zaczęliśmy podawać sobie półmiski. Ojciec mamie, mama mi, ja Judaszowi, Judasz babci, ale babcia

każdy półmisek odstawiała na bok, powtarzając, że od Judasza nic nie weźmie. Mama musiała nakładać jej wszystko sama. Dopiero wtedy babcia niechętnie zanurzyła łyżkę w kapuście łypiąc na Judasza z ukosa.

- Śmierdziel! Pijawka! – powtarzała.

A Judasz milczał, śmierdział i popijał kompot. Na pytania ojca, kim jest, co robi w naszym domu i w życiu w ogóle, nie odpowiadał, a im bardziej nie chciał odpowiadać, tym mniej ojciec chciał pytać i ostatecznie nikt nie odzywał się wcale. Tylko w tle leciały jakieś dumne piosenki. Kolędy, mówiła mama. Atmosfera grobowego milczenia udzieliła się wszystkim. Zupełnie jak pół roku później na cmentarzu.

Na cmentarzu uśmiechałem się do wszystkich zaproszonych i widząc ich smutek, łzy i ręce w kieszeniach powtarzałem to, co mówiła mama, że nie można być smutnym, że trzeba cieszyć się życiem, nie wkładać rąk w majtki i mieć szeroki uśmiech na twarzy, na co wszyscy odpowiadali oburzeniem i płaczem.

Ja też próbowałem płakać, ale ten jeden raz nie umiałem, chociaż babcia często doprowadzała mnie do łez.

Obserwowałem bacznie naszego gościa. Włożył do kieszeni srebrną łyżeczkę, potem widelce, aż w końcu nóż i szklankę. Kopnąłem go pod stołem. Przyjął to bez jęku i bólu. Kopnąłem raz jeszcze i znów nie zareagował. Miałem wrażenie, że rodzice wszystko widzą i milczą przyzwalająco, a babcia zachęca mnie, gorliwie przesuwając paciorki różańca. Kopnąłem znowu i tym razem Judasz odpowiedział kopnięciem. Mama z tatą wyszli do kuchni, a babcia usiadła na kanapie i odwróciła wzrok w stronę wiszącego nad drzwiami krzyża. Byliśmy z Judaszem niemal sam na sam. Kopnąłem go znowu, a on kopnął mnie, po czym pokazał na modlącą się babcię i przyłożył palec do ust na znak milczenia. Milczałem więc, a on w tym czasie chował do kieszeni spodni wszystkie łyżki, widelce i noże.

- Śmierdziel! Pijawka! – wykrzyknęła nagle babcia, posyłając w jego stronę wrogie spojrzenie. Skonsternowany Judasz upuścił łyżeczkę na podłogę. Siedział przez chwilę jak zamrożony. Schylił się powoli, nie spuszczać babci z oczu, a potem ostrożnie chwycił łyżeczkę w dwa palce. Podnosił się, garbiąc plecy u dołu i u góry, aż w końcu wyprostował się, a jego garby zniknęły gdzieś wewnątrz ufajdanego swetra.

Ścisnął łyżeczkę w dłoni, nie wiedząc, co z nią począć. Przenosił wzrok z niej raz na mnie, raz na babcię, która w końcu krzyknęła do niego:

- Na co się gapisz, Judaszu?!

Zaczerwienił się na te słowa. Pod wrogim okiem babci Judasz pocił się zestresowany. Zupełnie nie wiedział, co zrobić z łyżeczką, jakby od tego, kto ją ma w kieszeni, miało zależeć, kto przeżyje, a kto umrze. Spojrzał mi w oczy i z namaszczeniem przekazał łyżeczkę. Chwycałem niepewnie i, patrząc na jego zachęcające potakiwania, włożyłem łyżeczkę do kieszeni. Wpychałem ją tak, żeby zakryć okrągłą rączkę, a on kiwał głową niby wydając polecenia albo instrukcje. W końcu łyżeczka znalazła się w kieszeni. Złodziejskie dziedzictwo Judasza spoczywało w moich spodniach.

Długo nie myśląc, wziąłem kawałek sernika z patery i wręczyłem go Judaszowi. Ścisnął kawałek ciasta w dłoni, aż krem wypłynął ze środka, po czym Judasz uśmiechnął się do mnie niemrawo i schował zdobycz do kieszeni spodni. Wytarł ręce w sweter. Rodzice wrócili tymczasem do pokoju i nieśmiało zaczęli zbliżać się w stronę Judasza. A nieświadomy niczego Judasz dalej bez pardonowo sięgał po łyżeczki, bacząc tylko na rozmodloną babcię. Sięgał i chował. Sięgał i chował, aż w końcu tata czerwony jak bombka odważył się powiedzieć:

- Proszę natychmiast opuścić nasz dom! Pan jest kompletnie pijany!

Judasz w odpowiedzi nie odpowiedział wcale. Ojciec stał nad nim, nie wiedząc, jak zareagować. Szturchnął w ramię Judasza, który chwycił się kurczowo krawędzi obrusu, jakby chciał pokazać, że nigdzie się nie ruszy.

- Niech pan się wynosi z naszej Wigilii! Niech pan idzie precz! Niech się pan tu więcej nie pokazuje!

Ale te słowa nie zadziałały na Judasza lepiej niż poprzednie. Milczał i krzywił się ze wzrokiem wlepionym w babcię, a w rękach ścisnął nerwowo połę świątecznego obrusu. Tata szturchnął Judasza kilka razy w ramię, aż w końcu spróbował podnieść go z krzesła

- Wynocha, Judaszu! – wykrzyknęła babcia.

Na te słowa Judasz wstał jak na rozkaz. I można było pomyśleć, że faktycznie zamierzał się wynieść z łupem srebrnej zastawy upchanej po kieszeniach, gdyby nie ugniatany w palcach obrus.

- Proszę opuścić nasz dom!

Wtedy Judasz ruszył gwałtownie na ojca i obrus poszybował jak płachta, a wraz z nim poszybowały wszystkie miski, półmiski i szklanki; wszystkie roztrzaskane o ściany, o ziemię, pęk-

nięte w długie ostre kawałki i rozbite w drobny mak. Zaplamiony kawą dywan łapał nowe kolory i zacieki. Rodzice pośpieszyli ratować jedzenie z podłogi, tymczasem Judasz owinął się obrusem jak rzymską togą. Babcia wybiegła z pokoju. Ja śmiałem się do rozpuku z tego przedstawienia. Wstałem z krzesła. Klaskałem, kibicowałem. Takiej zabawy nie było odkąd nie ma z nami dziadka, ale mama ślęcząca przy ziemi, wykrzyknęła gniewnie:

– Nie chodź! Wszędzie szkło, a ty na boso!

Musiałem więc usiąść z powrotem na krześle, a Judasz podskakiwał triumfalnie i ku przerażeniu rodziców rozdeptywał duże kawałki talerzy na mniejsze. Na koniec położył się pod łysejącą choinką jak prezent, zamiast w papier zawinięty w czarne łachy i obrus, i chyba usnął, bo na wołania ojca odpowiadał tylko chrapnięciami. Trzeba go było wyciągać za dziurawe buty, aż te pospadały i odłoniły równie dziurawe skarpetki. Potem się szarpał, więc ojciec wyjął telefon z kieszeni i zadzwonił po policję. Babcia dalej powtarzała: śmierdziel, pijawka, i biła Judasza laską, po którą pobiegła na korytarz.

Ale ten nie wstawał, nawet złożony babciną laską, szarpał się dalej i zasłaniał prezentami, aż przy którymś chłaśnięciu laski złapał za gumową końcówkę i pociągnął ją do siebie, tak że babcia, będąca na drugim końcu, runęła do przodu. Upadła prosto na choinkę, a choinką na nią. Bombki runęły na ziemię szklanym deszczem i popękane kawałki rozprysnęły się na zapleśniały i brudny dywan. Babcia leżała na Judaszu, a Judasz ścisnął babcię. Wrywała się i krzyczała.

– Zostaw mnie, Judaszu!

Judasz obcałowywał jej policzki z zapałem, jakiego ja nigdy nie umiałem udawać przy składaniu życzeń. Babcia szarpała się za to jak ja w niedzielę przed kościołem i w końcu udało jej się przewrócić tak, że teraz Judasz był na górze, a babcia na dole, przygwożdżona Judaszem.

Choinka podskakiwała na nich gubiąc ostatnie igły.

Też chciałem rzucić się w wir zabawy razem z nimi, ale wtedy zadzwonił dzwonek do drzwi i do pokoju wkroczyli policjanci. Odsunęli na bok choinkę, wyszarpali kurczowo trzymającego babcię Judasza i na koniec podnieśli samą babcię, która ledwo dyszała. Posadzili obydwoje na krzesłach i zawyrokowali, że lepiej zadzwonić po pogotowie. Po kilku minutach niezręcznej ciszy pogotowie przyjechało, zadzwoniło do drzwi, weszło do pokoju i przy dźwięku chrupiących pod butami bombek i talerzy zaczęło zajmować się babcią.

Sanitariusze wyjęli jej długą, ciągnącą się pierś spod ubrania i stwierdzili, że nic się nie stało, że to tylko siniak i babcia się wyliże. A babcia stwierdziła, że nic jej nie jest i że wszystko będzie dobrze, jeśli tylko Judasz skończy za kratkami.

Uśmiechał się na te słowa wstydliwie i jagnięcym wzrokiem próbował ubłagać mamę, tatę, policjantów, a przede wszystkim babcię. Na mnie nie patrzył już wcale, jakby bardziej niż nadzieję, żywił do mnie urazę za to, że go przed niczym nie ostrzegłem.

Policjanci i sanitariusze stłoczyli się w naszym pokoju tak, że nasza Wigilia wreszcie wyglądała jak prawdziwa Wigilia na dwanaście osób, jeśli liczyć razem z Judaszem. I jedni, i drudzy wstydliwie, bo wstydliwie, ale podjedli co nieco, bo mama powiedziała, że nie wyjdą z domu, dopóki czegoś nie zjedzą. Jedli więc. Jedli to, co udało się ocalić ze stołu albo to, co było w kuchni. Tylko Judasz posadzony na krześle pod ścianą, kiedy spróbował wstać po jedzenie, został wychłostany wzrokiem jak babciną laską i – koniec końców – siedział głodny. Potem wziął w ręce swoje buty, a policjanci wyprowadzili go z domu trzymając pod pachy. Podziękowali za gościnę i wyszli. I słuch zaginął po wszystkich ośmiu.

Kilka dni później okazało się, że pod pierś babci jest coś więcej niż tylko siniak i znowu musieli przyjechać sanitariusze. Tym razem bez policji i nic nie jedli, ale zabrali ze sobą babcię. Oddali ją po kilku tygodniach jeszcze bardziej postarzałą, wychudzoną i brzydką. Zachowywała się idiotyczniej niż zwykle. Czasami uciekała z domu, czasami przewracała się bez powodu, czasami kradła sztuce z kuchni i chowała u siebie pod kanapą. Pewnie wtedy ukradła mi samochodzik. W tym wszystkim trochę przypominała naszego wigilijnego Judasza. Na koniec umarła.

Leżała w drewnianym pudle i milczała. Nigdy nie słyszałem, żeby babcia milczała tak długo, bo babcia nawet przez sen umiała się modlić. Leżała spokojnie, a modlili się za nią wszyscy wokoło. Mama mówiła, że jeśli nie chcę się z nią żegnać, nie muszę, a jeśli mama mówi, że czegoś nie muszę robić, znaczy, że powinienem to zrobić natychmiast. Powlokłem się w stronę trumny na tyle swobodnie, na ile pozwalało mi za ciasne ubranie.

Zajrzałem do środka. Szminkę miała jeszcze bardziej czerwoną niż zwykle, czarne ubranie jak zawsze i posępną twarz jak nigdy. Wyobrażałem sobie, jak rozsadza ją od środka chęć

odmówienia głośno zdrowaśki. Milczała jednak. Chwyciłem jej zimną dłoń, w której spoczywał dobrze wszystkim znany różaniec. Nie opierała się. Nie wyrywała jej, ani nie płakała. Dopiero kiedy odłożyłem jej suchą dłoń na białe obicie trumny, miałem wrażenie, że jej ręka drgnęła, a różaniec zsunął się z palców. Rozejrzałem się po kaplicy. Wszyscy byli zajęci własnymi łzami. Zwinąłem różaniec i zacisnąłem na nim pięść. Schowałem go do kieszeni i pingwinim krokiem podrepotałem w stronę mamy. Położyła mi rękę na głowie, jakby chciała pogratulować odwagi. Uśmiechnęliśmy się do siebie i pożegnaliśmy spojrzeniami na trumnę. Potem zamknęło się wieko i poszliśmy w stronę grobu dziadka. Może się mylę, ale miałem wrażenie, że Judasz przyglądał nam się z oddali.

Czasami myślę, co sływać u niego. Czuję, że nawiązała się między nami nić porozumienia. Łyżeczkę, którą mi podarował, trzymam pod łóżkiem razem z różańcem, w tajemnicy przed mamą.

Nie wiem, czy on zrobił to samo z kawałkiem ciasta ode mnie.

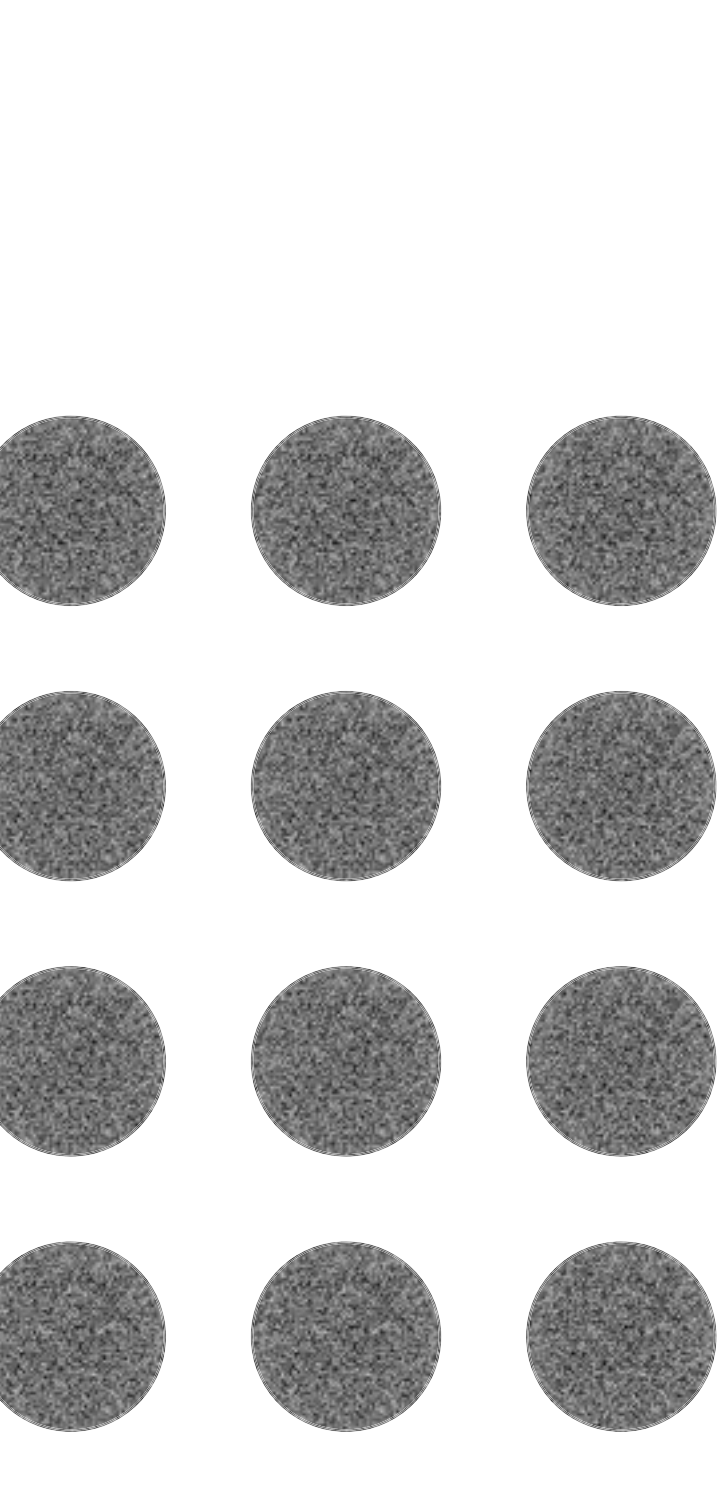
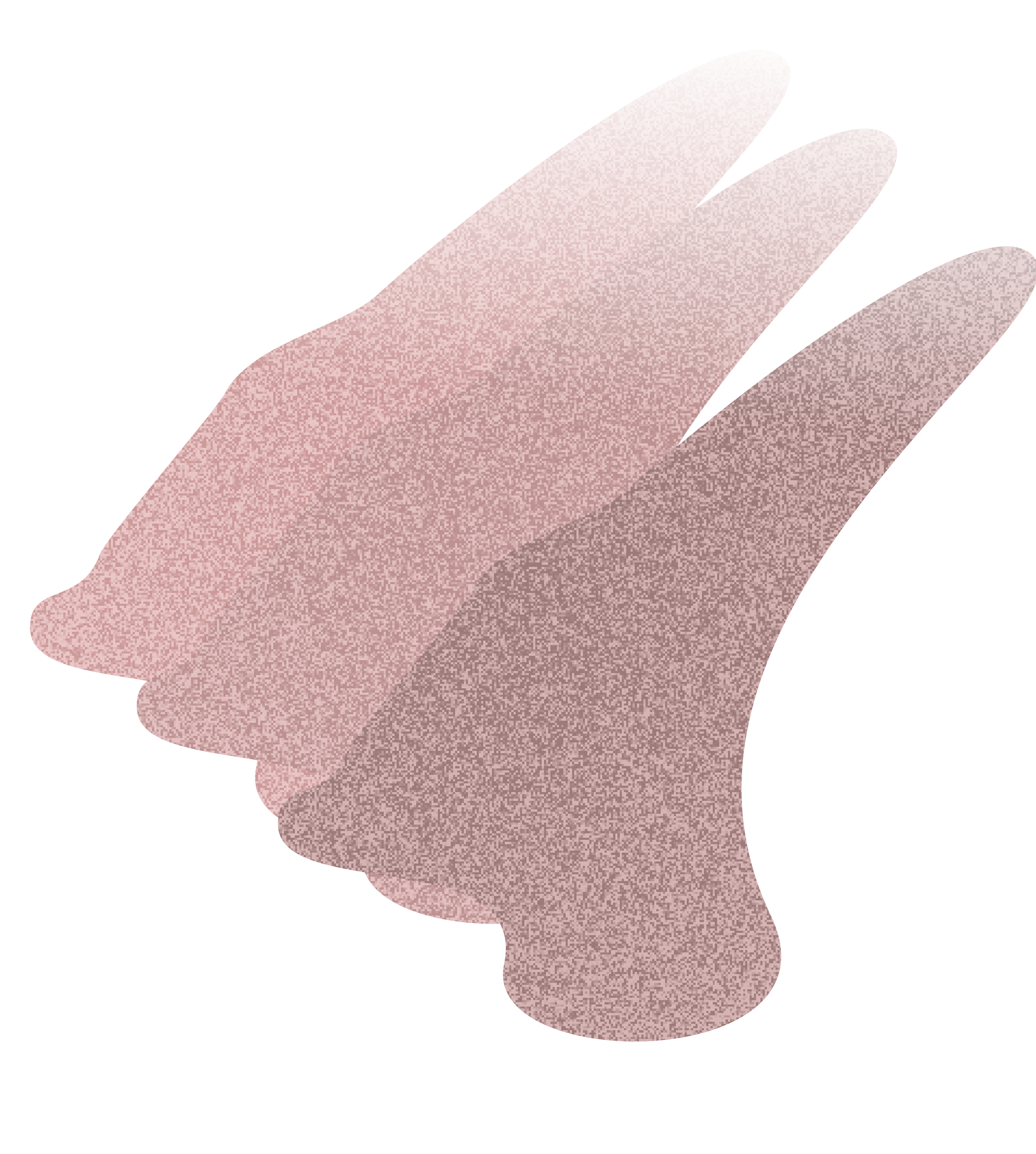
Przez zamieszanie z Judaszem, z choinką i z policją nie poszliśmy na pasterkę. I dobrze! Zawsze usypiałem w ławce i tylko babcia budziła mnie szturchnięciami. W tym roku chyba mi się nie upiecze, bo jest dopiero dwudziesta, a my już odpakowujemy prezenty. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętam z tamtej Wigilii, było odpakowywanie prezentów. Babcia kupiła mi klocki i, zanim zdążyłem nacieszyć wzrok kolorowym pudełkiem, zabrała mi je, wysypała zawartość na ziemię i sama zaczęła się bawić.

Patrzyłem zza stołu jak w połowie ślepa, z nosem przylepionym do dywanu, wyszukuje klocki. Za każdym razem widziałem grube jak żetony szkła, które zsuwały się z jej nosa i za każdym razem tak pieczołowicie rzucała klocki, żeby złapać spadające okulary. Ruchy miała niedołączne i niezdarne. Przykro było patrzeć. Odwracałem wzrok. Gdy znajdowała okulary, powoli i z namaszczeniem wsuwała je na nos. Potem od nowa zaczynała zbierać plastikowe elementy, dopóki okulary znów nie spadły na dywan. Marnie i ślamazarnie szukała, jakby bardziej niż szukając ich wzrokiem, próbowała wywąchać je długim nosem wśród utkwionego w dywanie zapachu pleśniejącego jedzenia i kawy. Jej ręce raz po raz natrafiały na ostre rogi klocków. Jęczała wtedy głośno. Mama kazała mi pomóc babci. Poszedłem, omijając zeschnięte kałuże świątecznego jedzenia i kawy, i podniosłem jej okulary, i wsadziłem je na babciny nos, popychając wzdłuż garbatej nasady. Zobaczyłem, jak oczy babci w krótkim rozbłysku odzyskiwały przejrzystość i jasność widzenia, jak rozpoznawały mnie i mówiły do mnie: „dobryś synku”. A potem ze zdwojonym zapałem zaczynała łączyć ze sobą plastikowe klocki i stawiała je na zapleśnionym dywanie, aż w końcu dywan zamienił się w miniaturową Golgotę. A potem babcia wzięła moje ręce, złożyła je razem w jedną wielką pięść otuloną przez jej suche, kościste i pokrzywione palce i powiedziała, że bym uklęknął i że byśmy zaczęli się modlić.

Spojrzałem wtedy na jej długie paluchy, na długie garbatego nosa i na wymalowane zbyt czerwoną szminką usta, szepczące słowa modlitwy. Spojrzałem na trzy kolorowe krzyże na pleśniejącym dywanie. Wyrwałem ręce z jej rąk i z łzą ciekącą po policzku, zapytałem:

– Babciu, dlaczego ty zawsze budujesz z klocków krzyże?

Babcia umarła na długo przed śmiercią. A choć zachrząściła czasem różańcem i czasem splunęła do białej doniczki, nie znaczy to nic prócz tego, że coś nią poruszało jakby zabawką na sznurku.



[Polacy weszli...]

Polacy weszli do wsi w 1944-1945 roku na wiosnę. Całą noc pociski bili spać nie można było, a rano od Krzywej Góry z drogi taki huk szedł jakby tanki i gospodarze wyszli z domu patrzeć co się dzieje. Zajęczuk Andrzej albo Zając, syn [nieczyt.], poleciał prędko do drogi tam za olszynę i krzyknął że to Armia Czerwona idzie, ale to byli Polacy, tylko on się pomylił bo mieli staliny sowieckie zdobyczne, tylko znaki przemalowane na polskie i tak szli.

Radość panowała wielka z tego wyzwolenia, dzieci rzucali kwiaty tym żołnierzom pod nogi i śpiewali hymn nasz polski

Frontu już wtedy we wsi nie było, najpierw Niemcy raz przeszli, zabierali co kto miał krowy owce [konie?] [nieczyt.] potem oni się cofali jak szła Armia Czerwona, którzy byli jeszcze gorsi, wszystko zabierali a jeszcze agitacja bardzo mocna na tych naszych gospodarzy, żeby jechali do Rosji bo tam dostaną ziemię bardzo żyzną. Tak i niejeden gospodarz pojechał i jak zobaczyli jak tam było to chcieli wrócić, ale już dla nich nie było powrotu. My zostali w **Kalinie**, ale ~~ilu pojechało to już nie pamiętam~~ pojechało 12 rodzin. Jak front szedł, to pociski spadali cały dzień nikt nie mógł wyjść zboża zebrać, ludzie nie mieli co jeść. Matka cerowała mundury Sowietom, bo stali we wsi obozem, to dawali jej za to czasem chleba ciemnego albo mąki, to piekła nam dzieciom żeby co zjedli. Mój brat był bardzo chudy często chory.

Imię matki było [zdanie urwane]

Kołymkowie, tak pamiętam, że nas nazywali. Już nikt dzisiaj nie wie że taki naród był, bo przyszła akcja „**Wisła**”.

Wojsko polskie weszło do wsi dużym oddziałem, padało bardzo od samego rana deszcz nie padał, ale mgła stała na łąkach i w lesie i oni tak wyszli z tej mgły. Całą wsią my stali w milczeniu i patrzyli przestraszeni co to będzie. Ojciec miał broń schowaną którą Niemcy zostawili ale jej nie wyjmował. Najsampierw jechali ułani konno zmęczeni zabłoceni, w mundurach zielonych, ale niejeden miał do tego buty niemieckie albo pałatkę zniszczoną bardzo, takie mieli w Armii Czerwonej. Opaski biało-czerwone na ramieniu każdy i orzełki nosili błyszczące na czapkach, takiego orzełka dał mi potem [Dąb?] bo tak go nazywali. Karabiny trzymali przy boku, byli objuczeni manierki pasy z amunicją, to wszystko wyglądało jakby wiele dni nie zdejmowali a konie też umęczone ciężko dyszały i z niektórych piana szła. Pułkownik co z przodu jechał krzyknął ~~po rosyjsku~~ do nas, żeby izbę dużą naszykować, bo rannych wiozą i tak zaraz ojciec mój kazał uprzętnąć, miejsce zrobić dla tych rannych.

Nasz dom stał niedaleko cerkwi nieduży kryty strzechą, bo wtedy jeszcze blachą kryli tylko najbogatsi gospodarze. Oprócz kuchni była tylko jedna duża izba tam układano tych rannych na stołach na ławach i nawet na ziemi. Matka jak to ujrzała załamała ręce, brat mój Maciej? trzymał się spódnicy i płakał bo ~~peruęcznik~~ pułkownik krzyczał na nią, żeby prędko pomogła opatrywać ale ona jego nie rozumiała bo nie mówiła po polsku. Dopiero jak ojciec jej wytłumaczył to kazała mi wziąć brata z dala od tych rannych i poszła pomagać.

Była dziewiąta może godzina i mgła jeszcze stała, oni wyszli z tej [mgły?], ci ułani to tak jakby duchy, ale zaraz huk szedł za nimi, ziemia drżała jakby bomby [nieczyt.] Zajęczuk pierwszy ich zobaczył i krzyczał, że to Armia Czerwona a ~~dzieci sypali kwiaty dla tych wyzwolicieli~~ Najpierw się pokazali jakby cienie takie wielkie, jakby góry z daleka we mgle albo w deszczu, szli tak jak niedźwiedź na dwóch łapach, tak się chwiejąc, tylko te staliny byli więksi, kobiety zaczęły płakać „Boże, Boże”, a gospodarze się żegnali znakiem krzyża.

Tak wysokie jak cerkiew nasza grekokatolicka, co zobaczyłem jak ustawiali narodnik, ale to było potem? Ta pierś wypukła miała po bokach dwie lufy jakby ręce, myślałem z początku że leci w powietrzu, dopiero potem jak blisko podeszli zobaczyłem dwie nogi stalowe, mieli takie stopy szerokie jakby chodaki i ziemia się od nich trzęsała. ~~Takie chodaki nazywane u nas~~ Głównie nie mieli tylko właśnie jakby wielka beczka stalowa na tych nogach, rury przewody druty z niej wystawiali pasy z amunicją takie długie na paręnaście [metrów?] wisieli do tych luf, byli całe okopcone. Psy wszystkie we wsi szczekali, taki huk szedł.

~~zboże w polu a na szosie autobus ale u nas autobus był dopiero w 1950 roku~~

Te staliny przeszli przez wieś, sześć ich było za nimi ułani w pięknych mundurach, strzelali na wiviat a dzieci rzucali kwiaty jeden rozwalony bombą ledwie chodził, cała ta beczka rozpruta – widać było żołnierza jak tam siedzi w środku i kieruje. A ślady zostawiali takie głębokie woda się w nich zbierała, jak się wpadło to wyżej pasa podchodziło i wyjść było bardzo trudno. Ten jeden stalin uszkodzony, ale inne też

wcale nie lepsze, wszędzie dziury po kulach po ogniu także ślady, a tam gdzie czerwone gwiazdy były wytłoczone tam pomalowali na biało-czerwono.

U nas na Kołymkowynie front szedł dwa razy, raz Niemcy a raz Sowieci, ale stalinów nie było nigdy bo to góry i teren bardzo ciężki, nie było jeszcze drogi asfaltowej – to dopiero znacznie później w 1950 roku już jak wojewoda sekretarz wojewódzki p. Brze[nieczyt.] nam obiecał i zrobili drogę, ale jeszcze nie wszystkie domy miały prąd, ale to i tak szybciej szło bo gospodarze sami robili zbiórkę pieniędzy na ten prąd. Tak nawet tanki rzadko byli tam u nas na froncie, tylko jak Niemcy szli za pierwszym razem ale przyleciał zepelin sowiecki i jeden zbombardowany spalił się, a z nim chałupa nasza Kondratiuków? Konie wszystkie wojsko zabrało, żeby się poruszać w tym terenie. Mojemu ojcu zabrali dwa konie.

Ten oficer co powiedział żeby dla rannych szykować izbę, nazywali jego Góral, on był pułkownikiem ale on nie był Polakiem?

U nas w chałupie zrobiono jak gdyby szpital polowy dla tych rannych, wielu ich było. Lekarz co z nimi przyjechał był Niemiec, sam miał prawą lewą rękę przestrzeloną w bandażu, potem ojciec z nim rozmawiał bo ojciec umiał po niemiecku trochę jeszcze jak był w obozie w Talerhofie za pierwszej wojny, bo tam był narodnik. Jemu tamten powiedział że on był z oddziału niemieckiego który rozbito i tak zaś jego wzięto żeby leczył Polaków. Matka im prześcieradło jedno podarła na opatrunki, a my z bratem moim Maciejem Mikołajem? latali do rzeki Kołymki Kałamanki po wodę, którą matka gotowała i potem przemywali rany. Tam był jeden starszy żołnierz Dąb na niego wołali albo Łąbiak, czterdzieści lat a może więcej, on mnie wołał i tak zdjęcie pokazywał co miał pod czapkę – synek jego i on mi dał orzełka z czapki, ten orzełek był metalowy na ostrej szpilce a jak pułkownik [zdanie urwane]

Oni nie szli przez wieś dalej na front jak wszyscy myśleli, tylko już był koniec wojny tu na Kołymkowynie o czym się dopiero dowiedzieliśmy od tych żołnierzy. Śpiewali piosenki „Wojenko, wojenko” „Pierwsza k[adrowa?]” ci ranni też jak byli przytomni i także „Legiony”. Ojciec ich prosił żeby nie śpiewali ale oni nie słuchali, krzyczeli że tu teraz będzie Polska i że my będziemy Polakami.

~~To się wszystko działo jeszcze przed tym nim w Buczynie powstał obóz i tam nas zamknęli gdzie byli ci oporni. Ojciec umarł tam zagłodzony pobity, a z dzieci troje umarło, brat mój Mikołaj? Zajęczuk i jedna dziewczyna ale ona nie była z Kaliny i nie wiem jak się nazywała.~~

Ten pułkownik kazał stalinowi rozstawić dokoła wsi, tam stali cały dzień i był zakaz żeby nie podchodzić. Tak się błyszczeli w słońcu te lufy że aż patrzeć bolało. Narodnik postawili koło cerkwi, wojsko jego pilnowało a przywieźli wieczorem, dwa konie jego ciągly. Matka była przy drodze patrzeć co to jedzie i wołała na ojca, wszyscy my pobiegli – wojsko przepędzało gospodarzy, widziałem między sztachetami jak jechał wóz a na nim maszyna wielka i jakby od góry metalowy słup a na końcu miał gwiazdę sow[iecką] czerwoną. Tą gwiazdę malowali potem od góry na biało bo to były polskie barwy. Ten narodnik ustawiono koło kościoła cerkwi, niedaleko rzeki gdzie przed wojną był mostek drewniany ale woda go zerwała.

Dzisiaj nikt przyznać nie chce że byli Kołymkowie i obóz w Buczynie. Naród kołymkowski udręczony nie może doznać przeprosin ani żadnego zadośćuczynienia za tak straszne krzywdy, że ich dręczono prześladowano traktowano jak przestępców a oni byli niewinni bo mówią nie było takiego narodu. Nie ma oficjalnego przyznania, że te wsie tu były nasze i tu żyliśmy, chociaż pisałem w tej sprawie listy do Marszałka Województwa do Trybunału i do Pana Prezydenta ale odpowiedzi nie było. Napisałem wiele listów.

~~To wyzwolenie spod władzy niemieckiej było wielkim wydarzeniem dla nas Polaków~~

Wszyscy chłopaki bardzo się interesowali tymi stalinami podchodzili chociaż nie wolno było. Ten pułkownik jak widział krzyczał bardzo ale tamci co kierowali nas wołali i dawali cukierki czekoladę? Oni byli czujni jeden stalin patrolował bo grasowali bandy UPA i różni bandyci, te ślady wielkie co zostawiał potem szukałem ale nie znalazłem a przecież pamiętam – takie głębokie że jak ktoś wpadł to wyjść nie było można.

Kołymkowie nigdy nie należeli do UPA chyba że niektórzy pomagali bo tamci grozili że podpalą [zdanie urwane]

Ten jeden jego wołali Dąb? dał mi orzełka swojego z czapki, był z metalu na grubej szpilce którą przypinano do czapki. On mnie pytał czy ja wiem co to, bo to jest nasze polskie godło. Ja trochę mówiłem po polsku bo przed wojną chodziłem do polskiej szkoły. Ten orzełek był uszkodzony od kuli jedno skrzydło trochę zgięte, ale on tego nie naprawił bo mówił że to medal za [nieczyt.]. Był bardzo silny, jedną ręką mnie podnosił i wspierał się na swojego stalina,

bardzo się bałem ale on mocno mnie trzymał. Tam był dużo dźwigni zegarów przewodów, on mi kazał nic nie dotykać i pokazał mi przez otwór całą wieś, zobaczyłem jakie wszystko jest małe rzeczka cerkiew i chałupy, nasza chałupa spaliła się od bomby sowieckiej była mała że mogłem ją zasłonić ręką.

Pamiętam że Dąb mnie zabrał do środka a on jeździł tankiem?

Mój brat Mikołaj bardzo się bał tych stalinów, nie chciał [nieczyt.] tylko płakał. Ci ranni u nas w domu jęczeli kilku w nocy zmarło, pułkownik kazał ich grzebać przy kościele cerkwi na naszym cmentarzu. Ten narodnik ustawili też tam blisko, nie zdjęli jego z wozu tylko tak zostawili, był wielki metalowy a na górze miał taki jakby słup stalowy z gwiazdą na czubku. Do niego podłączyli gruby przewód od tego rozerwanego stalina, przez całą wieś się ciągnął po ziemi ten kabel.

Pułkownik zebrał gospodarzy i powiedział, że jest zakaz opuszczać wieś po nocy nawet z chałup nie wolno wychodzić bo są bandy UPA. Kto wyjdzie będzie uznany że nosi do lasu jedzenie. To była niedziela ludzie poszli się modlić do cerkwi, ale nie było księdza w tych wojennych czasach dopiero w roku 1947. Matka też poszła się modlić a ksiądz był o. Fu[dak?] odprawił uroczystą mszę na cześć tych wyzwolicieli bo wreszcie my Polacy mogliśmy być uwolnieni.

Ten Dąb bo tak go wołali? dał mi orzełka, pytałem go o narodnik bo się bałem a on powiedział że nie trzeba się bać. Nosił mnie na barana jak pułkownik nie widział – mówił że też ma w domu takiego synka. Powiedział że narodnik nic złego nie robi chyba że jak ktoś jest mocno ranny i go boli, to wtedy nie zawsze działa bo ten Niemiec lekarz miał bark przestrelony i tak na niego nie podziałało.

Kołymkowie byli wschodniej wiary, w naszej cerkwi wisiała ikona Matka Boska z Dzieciątkiem która podobno była z Czech. Dziś już nikt nie wie że był taki naród.

Nie mówi się o tym że wojsko polskie ustawiało narodniki, u nas postawili koło cerkwi. O północy jego zachodzie słońca jego włączyli, patrzyli my wszyscy przez okna jak się zaczęła obracać ta gwiazda biało-czerwona a taki był hałas jakby zepelin tak warczał. Ojciec kazał nie patrzeć matka się modliła głośno. Tak było widać jak ta gwiazda się kręciła a dalej dokoła wsi staliny, ale oni nie celowali lufami do lasu tylko między domy.

~~Czerwień to miłość biel serce czyste piękne są nasze barwy ojczyste taką piosenkę śpiewaliśmy~~

Nie można było w nocy [zdanie urwane]

Tamtej nocy nie można było spać – śniły się dziwne rzeczy orły flagi hymny piosenki żołnierze ze skrzydłami jak anioły. Cały czas tak warczało jakby samolot, szło takie drżenie wszystko wypadło z rąk, dzwonili zęby brzuch mnie bolał. Brat Michał? obudził się i płakał bardzo, nie mogła jego matka uspokoić. Krzyczał słowa po polsku a on nie chodził do szkoły i nie znał. Ojciec latał po chałupie od kąta do kąta – nagle kazał mi śpiewać piosenki kołymkowskie ale ja nie mogłem sobie przypomnieć.

~~Dłaczego dzisiaj nikt nie mówi że była akcja „Wisła”?~~

Już po wojnie dużo później kiedy byłem sołtysem. Na spowiedzi zapytałem księdza czy pamięta narodnik chociaż on nie był z naszej wsi ale zaczął na mnie krzyczeć bo kłamstwo to grzech. Tych grobów gdzie ich pochowali szukałem koło cerkwi kościoła ale nie znalazłem.

Nie można było spać, wszystko drżało wypadło z rąk, matka jak klęczała nagle upadła bo nie dała rady utrzymać [nieczyt.]. Pamiętam szyby dzwonili i garnki. Tak się myśli mącili jakby od wódki. U nas we wsi nie pędzono bimbru choć byli rozmaite oskarżenia – mówiono że bimber powoduje ślepotę, wisiały plakaty w Jaworowie ale u nas nikt nie pędził. W nocy jak przychodziło UPA czasem chcieli wódki, ale częściej jedzenia a jak ktoś nie chciał dać straszili my ci dom podpalimy. Kołymkowie nie byli nigdy [zdanie urwane]

Ojciec tak latał po chałupie ale się zataczał, nie mógł mówić – mieszały jemu się słowa polskie niemieckie kołymkowskie ukraińskie. Pamiętam brzuch mnie bolał, leżałem na ławie pod oknem i płakałem a myśli tak się plątały jakby w gorączce, tak się kręciło w głowie piosenki hymny orły [nieczyt.] krzyże katolickie. ~~Kto ty jesteś? Jaki znak~~

Brat płakał krzyczał bardzo i nagle zwymiotował. Ten lekarz Niemiec był w sąsiedniej chałupie, nie dano jemu spać z Polakami. Ojciec wziął nas dwóch na ręce Marcina i mnie poniosł do sąsiada, ta gwiazda kręciła się szybko aż się robiło niedobrze. Ojciec się zataczał ziemia drżała, twarz miał błądą? Deszcz nie padał płakałem ze strachu bo od tej gorączki wszędzie byli duchy – wojska maszerowali po niebie rycerze ułani strzelcy [nieczyt.], grali rogi i trąby Matka Boska z ikony robiła znak krzyża ale ja się jej bałem. Sąsiad nie otwierał drzwi, ojciec sam otworzył a oni leżeli na podłodze.

Lekarz Niemiec też był z nimi ale on już nie żył, miał pianę na ustach od trucizny a bandaże cały na ręku czerwony od krwi.

~~nie rzucim ziemi skąd~~

Kołymkowie zawsze żyli na tych ziemiach a zwano ją Kołymkowyna. Byli wiary grekokatolickiej.

Ojciec chciał iść do tych żołnierzy ale nie dali mu podejść – jeden stalin wycelował strzelił w ziemię obok niego a była dziura na pół metra. Tamten żołnierz jego wołali Dąbiak krzyknął nie podchodzić! Ja trochę już sam szedłem a mój brat tak leciał ojcowi przez ręce. Krzyczeli nie podchodzić bo cię zastrzelimy nie pójdziesz do swojej bandy Ukraińcu!

Ja miałem dziewięć lat a mój brat pięć?

Nikt dzisiaj nie mówi że byli Kołymkowie a to była ich ziemia.

~~Gospodarze z Kaliny wiele ucierpieli od niemieckiego sowieckiego okupanta, była wielka radość z tego wyzwolenia. Ci ułani jechali w paradnych mundurach, dawano kwiaty a kiedy wróciłem do szkoły przywrócono znowu język polski. Ksiądz odprawił uroczystą mszę~~

[zdanie urwane]

Ojciec chciał pomocy od tych naszych żołnierzy ale krzyczeli stój! Wrócił do chałupy matka leżała na ziemi, trzęsa się płakała bardzo coś krzyczała. Ja znowu leciałem przez ręce jak Michał, ojciec mnie głaskał po głowie a tak się myśli [nieczyt.] od gorączki. On mi chciał śpiewać piosenki kołymkowskie ale nie mógł sobie przypomnieć. Duchy lecieli przez chatę ułani konno piechota tanki zepeliny, rzucałem do nich kwiaty bo to było wyzwolenie od tego okupanta – mówili mi potem moja rodzina zginęła od niemieckich bomb w 1942 roku? Ojciec mnie okrył biało-czerwoną flagą dał mi orzełka do ręki, dzwonili mi zęby a ułani strzelali na [wiwat?].

~~z pokoleń trudu z ofiarnej krwi zwycięskiej~~

~~chwaty~~

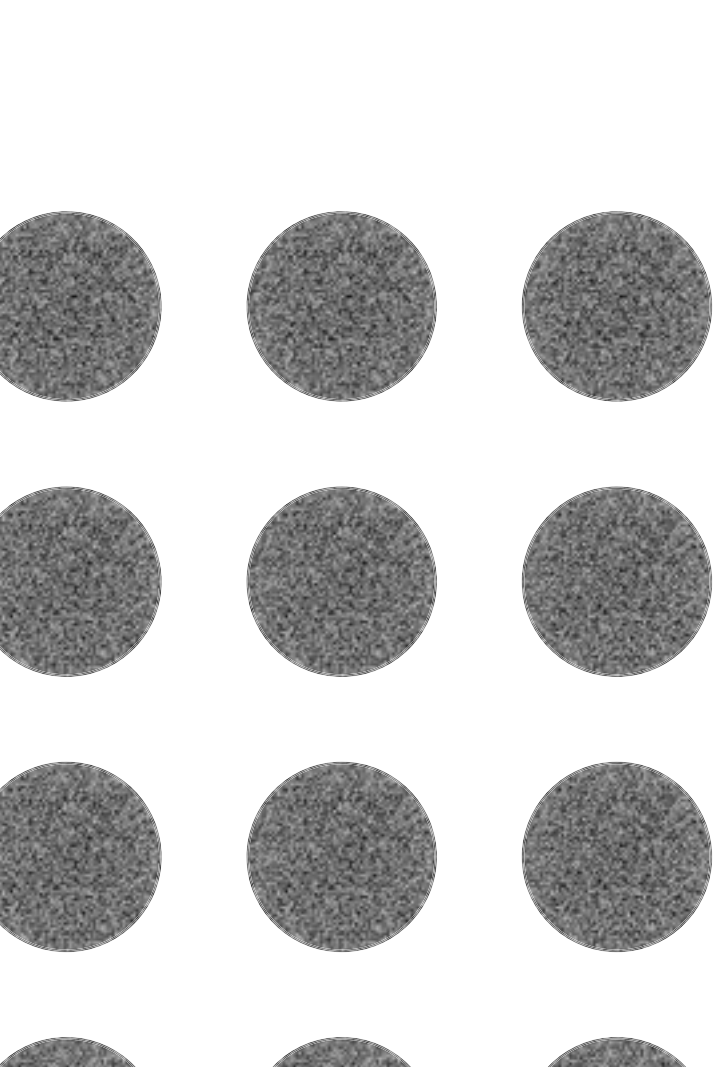
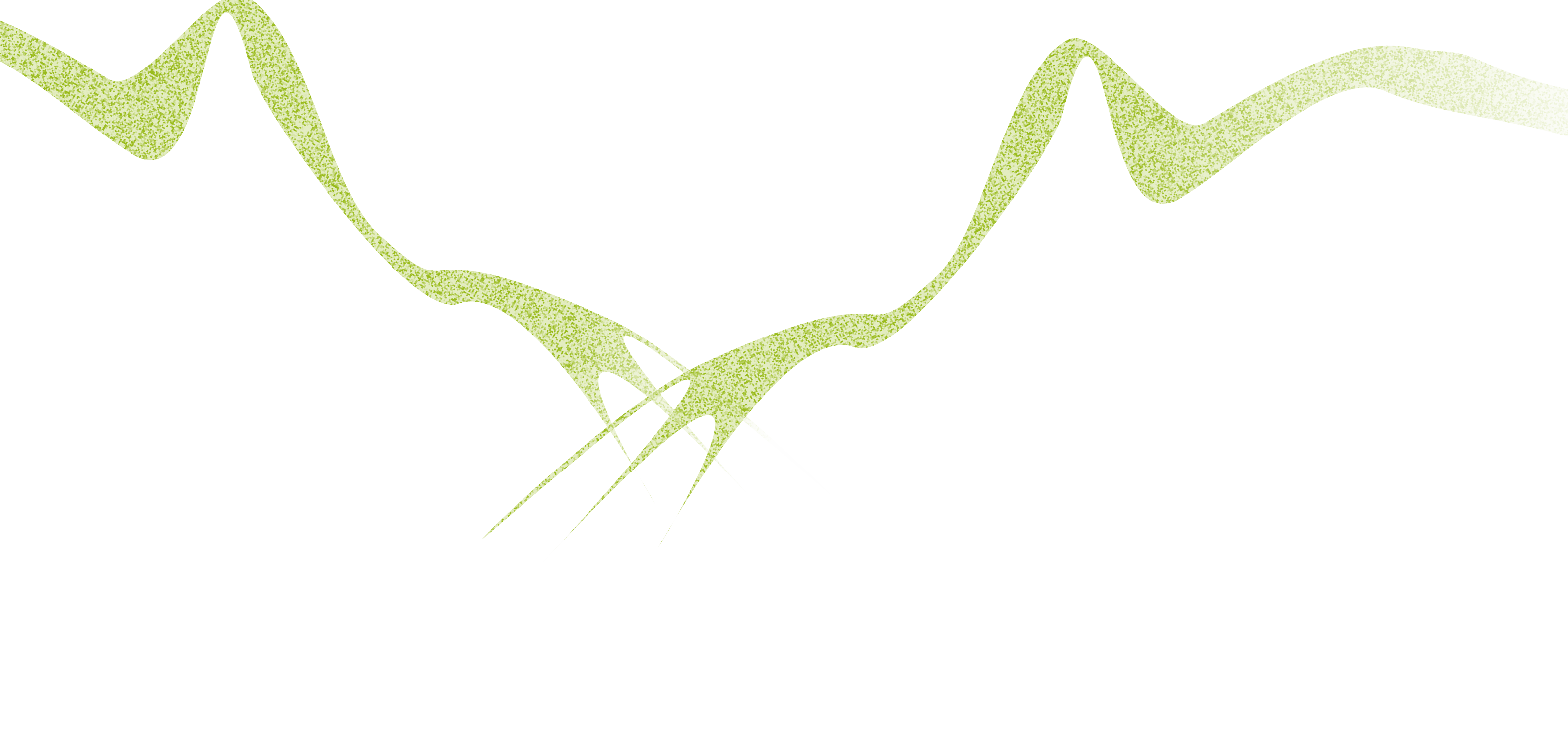
Ojciec nas poniósł brata i mnie ja już trochę sam szedłem. Tamci krzyczeli stój! Bo cię zastrzelimy Żydzie Ukraińcu. Im dalej od wsi – od tego narodnika było lżej brzuch tak nie bolał, sam mogłem iść. Ojciec mi powiedział uciekaj! Pobiegłem ale zgubiłem drogę między żołnierzami, szła wielka armia bałem się stratowania od koni zabrali mojemu ojcu dwa konie, lecieli ci rycerze do bitwy na skrzydłach strzelcy maszerują ułani [nieczyt.] – miałem tego orzełka dał mi go Dąb? Zobaczyłem nagle narodnik, był blisko kręciła się czerwono-biała gwiazda a w ustach taki smak jakby krew? Upadłem tam koło kościoła cerkwi przed tak wielkim sakramentem, ten orzełek wbił się w dłoń bo tak mocno zaciskałem – szpilka przebiła dłoń, mam do dziś przykurczone niesprawne dwa palce.

Leżałem rzucałem kwiaty dla tych wyzwolicieli była wielka msza, bili pociski a po niebie czwórkami [nieczyt.]. Wyło tak głośno jakby samoloty bombowce narodnik był blisko – upadłem obok niego, a od tej szpilki mam do dzisiaj uszkodzoną dłoń bo tak mocno ścisnąłem. Tamci krzyczeli do ojca stój! Ukraińcu ale on miał broń schowaną i teraz strzelał do nich, walczył za Polskę z tym okupantem. Moja brat Maciej? na jego ramieniu bo on był chory, krew mu spływała z nosa z ust z ręki bo była przebita tą szpilką. Tamten stalin zrobił krok wystrzelił, ja płakałem ale ojca już nie było.

[nieczyt.]

[nieczyt.]

Nasi polscy żołnierze weszli do wsi w 1945 roku na wiosnę, wielka radość była z tego wyzwolenia. Ja już wtedy byłem sierotą, bo cała moja rodzina ojciec matka i brat Michał zginęli w 1944 roku od sowieckiej bomby. Dzieci rzucaли kwiaty tym [zdanie urwane]



Naczelny

Goryl Marian uciekł z laboratorium, zmarznięty wsiadł do autobusu 173 Azory – Nowy Bieżanów i pojechał do domu towarowego Jubilat.

Na przystanku dwie nastolatki zrobiły sobie zdjęcie z nim i z człowiekiem-marchewką, promującym soki Tymbark. W autobusie i tak już śmierdziało zanim wsiadł, więc pasażerowie się od niego nie odsuwali, a niektórzy nawet, rozbawieni, wsunęli mu w łapę garść monet. Uniknął kontroli biletów, ponieważ jakieś dziecko pogłaskało go po grzbiecie i kanary zajęły się wlepianiem ojcu chłopca mandatu za przewożenie dużego psa bez kagańca.

W Jubilacie na piętrze z galanterią dziecięcą trwało kinder party w stylu „Gwiazdnych Wojen”.

– Gorąco jak w dupie – powiedziała do Mariana filigranowa animatorka w stroju Chewbaki – przynieś mi Anetko colę, jakbyś szła na spóżywczy!

– Yyyk! – odparł goryl i pobiegł na dział sportowy, konsumując na schodach fikusa z doniczki.

– Czekażże, Aneta, odepnę ci klipsa, żeby alarm nie pipczał, tylko nie urywaj metki, bo musimy to odwieść po imprezie! – zawołała do Mariana sprzedawczyni, kiedy wychodził z przebieralni zawinięty w biało-czerwoną szarfę.

– Yyych! – sapnął Marian i wybiegł na Aleję Trzech Wieszczów, prosto w grupę kibiców wracających z meczu.

Tymczasem kierownik laboratorium odzyskał przytomność po uderzeniu w głowę drzwiami od klatki i wszczął alarm. Służby, jak zwykle, zadziałały błyskawicznie. Dzięki bezbłędnie działającemu monitoringowi oraz nieomylnym procedurom, już sześć minut później pod Teatrem Stu wojewódzki lekarz weterynarii, po zaledwie dwóch chybionych strzałach, zamroził Mariana specjalnym zastrzykiem. Policjanci wnieśli goryla do furgonetki wraz z dwoma omyłkowo uśpionymi kibicami.

– Psiarnia zwija Lewego, Prawego i Kudłatego! – krzyknął Szczerbaty i chwilę później dzięki pomocy Boskiej Opatrzności, maczety i dwóch kijów bejsbolowych, zakładnicy zostali odbici i poniesieni na drzwiach od furgonetki wysoko nad głowami kibiców.

– Blurp! – zbulgotał Marian budząc się, kiedy Łysy wlewał mu zawartość małpki do gardła.

– Nic nie mów, leż i oddychaj, Kudłaty! Matka twoja rodzona rany tve opatrzy! Matka jest tylko jedna! Pomścimy cię bracie! – zakrzyknął Łysy, zostawiając go w pociągu „Ernest Malinowski” relacji Zakopane – Warszawa.

– W baranie tyz zem się pocił i mię było czuć, ale tera mom poliester łod syna z Hameryki – zagaił siedzący pod oknem fotograf w stroju niedźwiedzia i poczęstował Mariana bananem.

– Yyyk! – rzekł Marian, po czym zjadł banana ze skórką i reklamówką.

– Ohoho, cosik mi się widzi, ze baciarka była. Klina trza walnąć! – zawołał radośnie fotograf, wlewając w Mariana samogon z piersiówki. Goryl zasnął, a fotograf ciągnął dalej:

– Turystyka nom na Krupówkach kona, cepry z rządu nos nie wspierajo, to się sami musim wspieroc. Tyz mom flagę! Jesce im pokazemy w tej Warszawie pod Sejmem!

Wyjął monety z łapy goryla, mówiąc podniosło: – Daj dutki, ac ja pogodam z konduktorem, a ty poczywaj!

Sześć miesięcy później, na wiecu wyborczym kandydata z najszerszym poparciem, wszystko było dopięte na ostatni guzik. Dziennikarze przepychali się pod trybunę, tłumaczka języka migowego czekała w napięciu, a na mównicy leżała kiść świeżych bananów, sprowadzonych specjalnym samolotem z Ekwadoru.

– Marian na prezydenta! – skandował tłum wznoszący transparenty z napisem „Yyyk!”.

Rysunek wykonała Sabina Antoniszczak.



Jak Bajman Krystek Jasnej Góry przed lewiatanów niecnym napadnięciem bronił, opowieść prawdziwa

Roku Pańskiego anodomini 2020 Ojczyznę Naszą Żyzną mlekiem z miodem płynącą zaraza toczyła gorsza ode z palca wyssanych kowidów czy inszych spisków światowych w swem rozmachu oligarchów, a mianowicie hordy lewackie atakujące Święty Polski Kościół czyli niejakoż Matkę Naszą i Ojca Narodu przed którym klękam oto ja, Syn Marno Trawny i głowę popiołami ze spalonych świętyń, miast i wiosek posypuję przez najeźcę okrutnego gnębiących kobiety, dzieci i starców jak i zarówno wszystkich Polaków Prawdziwych wycierpianych w jarzmach niewoli z pokolenia na pokolenie by zerwać wreszcie kajdany i murów krat. Hordy owe przypuszczały ataki bez precedensów i bez litości na Miejsca Kultu, tedy wzorem Przodków Znakomitych jako takich: Imć Zagłoba, Pan Wołodyjosi, Czarneciki Spodpoznania, Janek Pasek, Mieszko I i Sam Jezus Chrystus we własnej osobie, Wiaryji naszej Pszenajświentszej broniących piersią pełną, postawą niezłomną a odwagą niczym sami Żołnierze Wyklęci, tako i ja skromny Sługa Ojczyzny Wzywającej na pomoc, postanowiłem ruszyć na Jasną Górę, gdzie poniekąd „scurveysynus levacco” zagrażać miejscowości dla naszej Polaków tożsamości się poważyli, co się w głowie nie mieści jakie to z ich strony „Hujovis Namaximus” jest.

Rumaka ropnego tedy rażno dosiadłem co prawda obcej produkcji ode czego Serce Ojczyzny krwawi Mękom y Boleściom, że „vdupalus jebanis” komuniści prócz wyrżnięcia Tożsamości Narodowej i Pamięci zajechalibyli takoz przemysłu motoryzacyjnego potencyje, któren to mógł pozagranicznym owym nie ustępować, a tak na pojazdy germanijskie, kitajskie, francuzyjskie skazanym będąwszy, ten ostatni wybrałem jako, że ku Francycji najbliższe naszym Narodowym Interesom jeszcze od Napoleona co nam pokazał jak zwyciężać Mamy łączą braterskie relacje i Umiłowanie Wolności jako i równości, nie licząc jednakowoż owych „levacco”, na ich własne życzenie takowym zachowaniem bezbożnem sami się skazując.

Zaczem peżotem pomkłem ile sił w silniku ku Jasnej świecącej przykładem na horyzoncie Górze. Natenczas o sobie paliwa wskaźnik unizony znać dał, wnet na stację roponośną wielce trzeba mi było zajechać, com ucznił naszego Orła Białego wybrawszy któren dumnie z logo swego na świat patrzy niejako z góry a srogo jako każdemu Polakowi Prawdziwemu zaglądać na ten padół łez potrzeba, przy czem Mężczyzna łez wstydić się nie winien jeno wybitnie w sytuacji wzmożenia uczyć patryjotycznych na łonie Matki Ojczyzny oplakujący jej dole i niedole.

Zajechawszy tedy pode dystrybutoryja wysmukłą wieżyczkę za wąż chyciwszy oczom swym niedowierzaniem oblepionym na pierwszy rzut jaka tutej „dohujus panis” drożyznyja zapanowała aże mnie nęci węża we tknąwszy na ten powrót w drugą stronę ulicy przeskoczyć gdzie ruska stacja z cenami atrakcyjności pełniejsza kusi alecz Patryjoty najszczęszczego Zapału Zew się odezywa w tem Sercu szatana wątpliwości butem przy ciskawszy choć wije się lubieżnie y podstępnie, śmiało leję ów złoty paliw klejnot w bak nielicząc się z wydatku ciężarnym płodem albowiem w Zbożnej Sprawie ów ambaraz. Ino leję pół, głowiąc zaradnie iże pode drodze tańsza jakowaś stacja jako znam żywota na wylot się nadarzy i pospieszam do kasy bom Uczyciwy Obywatel co to swoje zapłaci a jeszcze wrogom słono dołoży.

Jakiegoż szokum doznał we wnętrzu przybytku owego gdzie poniekąd niewiasta napoły płochliwa skromną mą Osobistość obsługująca obrazić mnie się poważzyła, przemówiszy gdym ciężko zarobiony grosz wysuptał z debetowej owej karty słowami: „chodź do gie”, com przeczytał w uchu mem wyczulonem na języki nienawiści co to zewsząd ac głównie z lewa jady sączą wścieklizny i zębów pełne jako „idź do dupy” i powtarza to w kółko niczem opętana czorstem jakowymś diabelskim. Za fartuch ją chyciwszy potrząsam dopytawszy zaczem ona mnie oczerniać skora, na to kierownik stacji przyskoczył o co ten rabant, skoro ona pytała jeno zaś ja przekąskę do paliwa zechcę? Tedy do mnie dotarło, że to zzabuga niewiasta, jako i ukraińskiego pochodzenia aże wymowę małoPolską miała „chodź do gie” wyrażać ni mniej niwięcej „hot-doga” sromotało, ino z owym miękim Słowiańskim akcentyjem. Tem bardziej jednakowoż krew mnie zalałabyła i mówię „vypeirdalantis” mi tu z temi nazwami anglojęzykowemi, „vartco vypierdalantis”, co my własnego w gębie Języka mieć nie znamy, ażeby na bólkę z parówkom słowa nie mieć jakiego dobrego, na ten przykład bólparowa, zaczem każę owej niewiaście jako

i kierownikowi powtarzać aż za dobrze popamiętają lekcję Ojczystego Języka na wieczne ataki ze stron obcych wpływów i inszych „curvusuv” zdradzieckich narozonego.

Koniec to nie był peregrynacji na owej stacji jako że przez rozsuwane wrota wnika w czystej postaci wrogi plemię amianowicie podgatunek „Pizdeus Spedalinus” rehotając na cały lokal przykrótkimi spodzeniami i koszulinami na byle huderlawe klateczki narzuconemi jako i kolorami krzykliwemi włosy upačkanych a kwicząc niczem zarzygane sodomizacjom świnie tak oż się do baru pchają o pomstę na weganicznych parówek brak wołając. Tako Sługa Wasz pokorny w mojej Osobie do frontowego ataku przystąpić zamiarowałem na szczęście całe chwała Panu Najwyższemu Bogu Jedynemu i Synowi Jego Jedynemu i Matce Boskiej Matce Jego Jedynej zmiarkowałem, że to być i może prowokacja jakowaś na Ryceza Spieszącego z Odesieczą na Jasnejgórskiej oazy chrześcijańskiego przedmurza rozciągającego się z dawien odmorzadomorza zasadzona, czempredziej dosiadłem rumaka i tumanów kurzawy podniecając pomkłem już beze zwłok ku celowi Zbożnemu „Spedaliniusów” które wyległy w kafelaty uzbrojone z niemymi paszczami otwartemi ostawiając na ten pokaz Prawdziwej Polskiej piskiem opon nadobnej Jurności.

Acz droga srogo się przed mną rozciągałabyła, szczęściem Rodacy zasobnym we banery poboczne uczynili zaczem poczytać było co i oko zawiesić na niewiastach w negliżu wulkanizacji i myjni przybytki nęcące jako i duma rozpierała jakaż to w Narodzie Pomysłowości przeogromny zasób ażeby w takie miejsca banery owe powtykać, co im się by zdało, że już igły tam nie wciśniesz, a tu proszę, dwa trzy stoją dumnie a siano w kiesie wpada zacne. Jako i fakt ten, iż dwóch podobnych dworków nie spotkasz na tej naszej Umęczonej Ziemi Odzyskanej polatach niewoli, każden jednego prześciga w zdobności drugiemu udowodniając jaki taki kozak w budowlance i wykończeniuówce, w szczególności nadfasadami co i kolumną się cieszą abo portykiem jakim zdobnym w talerze rozbite jak była Ojczyzna rozbitą, tak na tych murach sklejona na powrót Jednością Narodu co to ją rozbić lewackie hordy miarkują, tak mnie owa myśl smagła, że docisnął pedała do dechy.

Zmroki tymczasem zapadały, alec Jasna Góra jasna była dla wszystkich jako i dla mnie z za zakrętu, więc nie tracąc ni chwili na parkowanie elegancją grzeszące wpadłem w Kruszcanki Drogocenne pięści zaciskawszy jak miechy na te czarownice bolszewickie co ich się tu spodziewałem co krok napotkać, całe to zamrowienie lewackich agresorów w Murach Świątyni pieniących się bezecznie. Jakież zadziwienie mnie opadło gdym pomiarkował, że pustki wielkie w tym sercu Wiary Przenajświentszej świecom, że ledwo wydyszał tak oż do medyjów internetowych kanałów owych: ludzie, przecież tu nikogo nie ma! Dopieron dotarło do tego Pustego Łba (wybacz Panie Boże w Niebiosach słowa mężowi nieprzystojne), aże to jeno prowakacja podła była tefalenów poddanych wpływom obcych kapitalizmów którym na sercu zło leży jedynie Polski i całego jej Narodu, przysiągłbym był na Matkę Moją Polkę i na śmierć, aże ataki zapowiadali w głównych nawet wiadomościach, azaliż to jeno takie gadanie było, na złość Obrońcy Wiary, żeby za swoje jechał na paliwo się kosztując i czasu trwoniąc i energii wydając pastwę, wściekły ryk tedy odbył się z głębi gardła Polskiego mego, aż struchlały staruszki z godzinek mknące wzdłuż murów niewzruszonych nawet na szwedzkiego najeźce którego potop się o nie rozbił w pył, nie bójcie nic babinki, ja tu na straży pozostanę, tak na głos i w cichości swojej poprzysięgłem, albowiem kolejnych ataków spodziewałem się poniekąd słusznie, co wstawienictwu Pszenajświentszej Panienci przypisuję, że mnie ta intuicyja nie zawiodła, drugiego dnia bowiem hordy lewackie się ukazały. Nocleg odbywać tedy na parkingu mnie przyszło spędzić trafem oparcie foteliska daleko w tył pchnąć możebne, azaliż pierwszy i tak oż następnych kilka miejsc postoju aut osobowych płatnymi „docurvum obscurantum” okazały się były, dopieron przede przybytkiem marketu sieciowego dzięki Bogu bezpłatnem się okazał poza godzinami pracy, zatem okrywwszy ciało kurtki płaszczem puchowem do snu się układałem wymodliwszy zaś pod Twoją Obronę i Ojczenasz do połowy prawie jakoż powieki zakleić się uprzejme były.

Do ataku odparcia przygotowania trzeba było inicjować po wczesnym kurancie ochrony pracownika w szybę mnie do porządku przywołającego, na com dumnie odrzekł, że Klientem Pierwszym jest i po strawę jakowaś się wybieram a i owszem, zaczem po szybkim y treściwym posiłku na któren Kiełbasa Polska i Chleb Codzienny jako że w promocyji się znajdowały w sieci owej marki której zdradzić tu nie przystoi bo znowuż to kapitał obcy, acz już w Ojczyznę wrośnięty, aż nie odróżnisz na pierwszy rzut, tem bardziej, że Polskiego Rolnika Płody sprowadzający na półki, więc i to

oko przymknąć można, skoro podatki jak Bóg Przykazał płacą w Kraju.

Jakiż mnie zarówno entuzjaz obratki doszły słuchy jakoby kolejni Obrońcy na Mój skromny acz gorącej debaty pełen Apel Jasnogórski odparły także zjawić się w liczbie skorej zapowiedzieliby tłumnie! Serce Patryjoty rośnie na tem Chlebie z Solą Ziemi Ojczystej, nie sam już wszak w szranki stawałem ale z hufcem bitnym. Ataków azaliż spodziewałem się ledwie z wieczora, także dzień był do przebycia długi, czempredziej na Mszę Świętą zawitałem, jedną, drugą ku ucieście Duszy Mej Skromnej, acz przyznać muszę niechętnie, że z trzeciej braciszkwie wyprosil, zbyt głośnym znajdując medytacyji Zbożnej Odgłos. Posłem tedy na żurek omijając z daleka baranem śmierdzących kebabistów szczerzących zębiska ze swych psich bud muzułmańskich, pechem żurów pierwszej młodości zdał się zalatywać sadząc po zapaszku unoszącym się niczym jakowys gin z butelki, alecz zęby zagryzłem, bo to potrawa tradycyjna, nasza, swojska zatem prawie jak Święta.

Chwała Bogu, że wieczór napadł na okolicę wczesny, niepewnym bowiem znajdowałem samego siebie, czy mnie ta nudy topiel w pierwszej niżli lewackie hordy wykończą, oto jednak stają Obrońcy na Wzgórzu Świętym w dole wypatrując agresorów, których najsampierw niwidu, nisłychu. A w nas jakoby krew zakipiała od kogutów policyjnych jeszcze podgrzewana, bowiem widać jakowe junaki w mundurach mają zapatrywanie na Sprawę i tarcze mocniej w garść chytają. Oto na horyzoncie zastępy sodomickie komuszego pomiotu, owe „pierdolinus gnois” jako i „scurvenis parhus satanis” i inne „vypierdus srakovis” widnieją proporcami z napisami przekleństw ponad miare pełnemi i wizerunkami Świętych Pomazańców obrażających Uczucia Religijnych za co kryminał każdego spotkać winien z biegu Prawa ażeby Sprawiedliwości stało się dość. A krzyku u nich co niemiara przy czem najbardziej niewiasty, które każdą jedną przeze kolano przełożyć aby Prawicą goły tył sprać z Ojcowską Zadumą y Troską toby się zaraz wyprostowały na drogę Cnoty także Pokory pełną od rana do wieczora na swoim miejscu tkwiące jak Pan przykazał ku Rodziny i Męża Prawo Witego pożytku. A my jako wszyscy na pozycjach niczem struny napięte, szczały do lotu gotowe, także cięciwy drzące na palcu łuczniaka niecierpliwego i gromkimi głosami zakrzyknęli, aż ła po mem policzku się stoczyła na dno Serca jakich pięknych synów wydała ta Ziemia całych w czerniach żałobnych, bo oto czarna godzina dla Świętego Kościoła nastąpiła w kominiarek hełmach jako i pióropuszami gorących oddechów oraz w zbrojach ciężkich dresów rodzimej jak zauważam pociesznie produkcji, łzę połykam niczem komuniję i jużem na śmierć gotowym już niczego lękać się nie baczę, krzykiem jednym z innemi się scalam i na atak lewackich „scurvessynus” czekam.

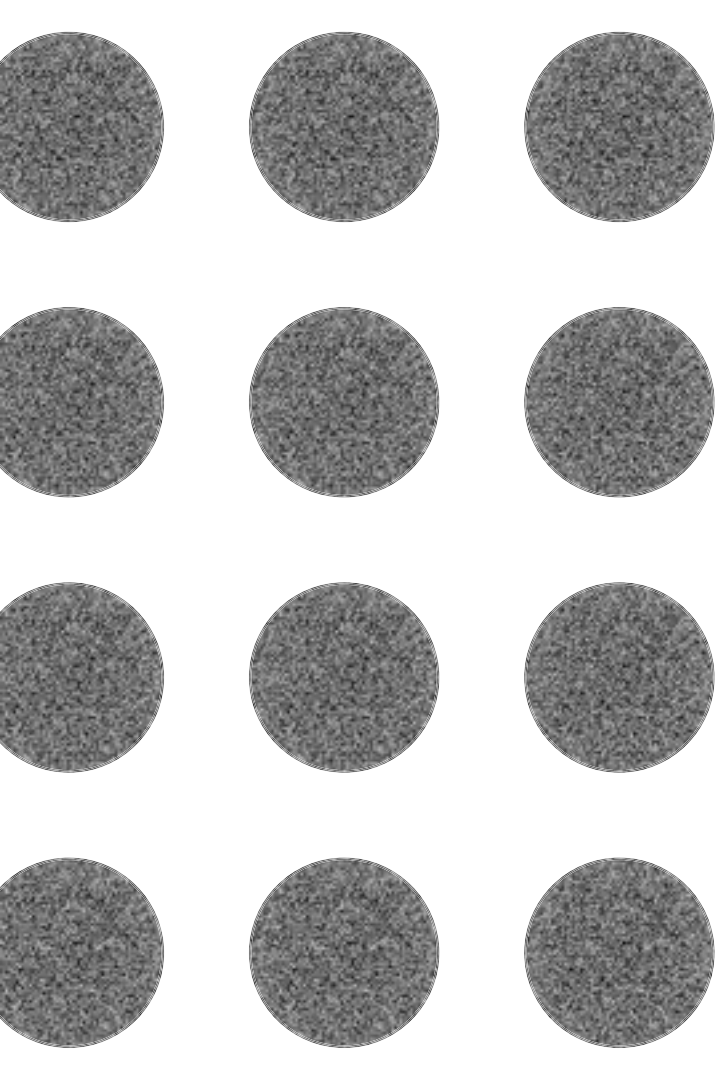
A one rzesze nieprzebrane odziane w szaty jakoweś barwne dla zmydlenia oczu płaszczykiem kryjącym zepsucie do cna już na Jasną Górę suną, już widzę ichnie lica bezbożnie wykrzywione, aparaty nazębne złowróźebnie błyskające, brokaty trujące z polików się osypujące, jakoż zdaje mnie się, że to nie żadne „scurvessesynus” ni „levacco” jeno lewiatany jakoweś najprawdziksze z dziur piekielnych powyłaziły czeluści tęczowo osmalonych, gotowe głowy nam ogryźć do kości gołej modliszki, albowiem nawet jedna pannę z piersiom obnażonom dostrzega sokoli jastrzęb spojrzenia mój, co w niejaka konfuzyję mnie wprawia i rezonans tracę w ostatniej chwili napowrót do zmysłów dochodząc, bo oto tusz tusz szeregi Żołnierzy Cnoty i lewiatanów legiony mają się zewrzeć, alecz hordy owe dwieście „japierdoretto” metrów od naszego Szańca Wiary Jedynej skręciwszy oczywista w lewo, jak na złość mijają nas tchórzliwie a niecznie. Tedy radość pośród nas zawitała w Glorii Pana i padliśmy w objęcia kolan modlić się żarliwie w piersi bijąc tarabany.

Słowem bitwa ta ostała niczem jednym Bożego Palca kiwnięcia wygraną, acz losy wojny w naszych rękach także spoczywają jako i nam spoczywać na Laurach nie dozwoliwszy, szczerym jednak chcąc być jak zawsze wobec Narodu i Prawdy, przyznać to muszę iż wyprawa owa trzema niesmakami obrodziła. Pierwszy niesmak wynikał z bitwy bez jednego wystrzału wziętą, jakaż bowiem przyjemność wojownik z walki beze zanurzenia pięści w twarzy przeciwnika ma, beze owego „vpierdalamus damus” i „valis huius v ryius”? Drugi niesmak pozostał po wspólnym Przemarszu Obrońców ramię w ramię ze śpiewem na ustach Roty i inszych pieśni Zbożnych jako Zamiast Liści i Kto Nie Skacze przez starówkę finał znalazł był u kebabistów na ryj w ryj spożyciu ścierwa pogańskiego na Moye protesty głośne uciszane argumentyjem aże to nasz Polski kebabista z całkowicie Polskiego kapitału i także Mięsa, co mnie poniekąd uspokoiwszy skubnąc z czosnkowym i ostrym sobą dozwoliłem jako żywo gustuje, acz ów niesmak drugi pozostałbył. Trzeciego niesmaku, niech mnie Bóg broni,

Orzeł przysporzył gdym do stacyji przybieżał, cena wachy mi łuskami z orybity oczu wypadła, ażeby w ciągu doby jedynej podskoczyć o niemały w swem rozmachu procent, Bójcie wy się Boga „dohuius panis” zaczem z wirażem żwiru w zadziwienie innych kierowców wprawiającem skierowałem wiernego rumaka ku ruskiej stacyji, w końcu niejako bracia w Wierze i Słowianie jako i my Pradawni, a w dodatku całe 44 grosze taniej na litrze.

Tedy niczem tygrys przyczajony w swej jaskini jakoby wczesnochrześcijańskiej oczekiwam na kolejne podłych lewiatanów ataki gotów bić się do Krwi Ostatniej Kropli zżył, które pod skóry narzutą pulsują czujnością Siły i Honoru modląc się do Maryji Zawsze Czystej Dziewicy o Jasność w odróżnieniu Prawych ode lewych, co akuratnio łatwym dla Piszącego te słowa zda się jakoże siódmego zmysłu czulek mając z kilometra abo i dwóch wyczuwa Polaka Prawdziwego postowie czynie i zachowaniu anade wszystko spojrzeniu szczerem tudzież nie.

Jedna Myśl mnie natenczas przeszła trafwszy niczem w dziesięcinę, a Myśl ta niejako z mniejszych podmyśli z kielicha w kielich przelewały się była, a mianowicie. Liczebność owych „scurvessynus” liczoną w tysiące setki i dalej być musi, azaliż skąd ona taką wielką się okazała? Jakież to maszyny nieczne za tem stoją, coby wyprodukować rzesze niestarego w swym wieku ludu, któren pod pstrokatem sztandarem w Rodzinę i Inne Świętości bić się waży? Pod czyje dyktando śmiałą się Ściany Kościołów kałem plugawym a pokrętym smarować? Skądże znowu znaczna maść ichnich obcojęzycznych haseł i okrzyków dziwacznych? Wszak gdzieś temu robactwu wyłec się udało, jakieś matki to-to karmiły i ojce jakie odwrotne kazania prawili? A niechby to właśnie brak owej Ojcowskiej Ręki przyczynom był, a okraszon wpływem obcych potęg ideologicznych bez ustanku pode granicami naszymi kruchemi wystającemi umysły zatrwać niegotowe się same w obrone wziąć. Zaczem jakimież to torami owe hordy do porządku przywołać w karnych szeregach do resztek ich godności i rozumu apelując w systemije wymyślnym jakim tudzież przeze arkitekta jakiego ostatecznie opracowan, a? Takóż Czytelnika z Myślą Złotą ostawiam dla potomności i ku nauce przyszłych pokoleń uciecze niech będzie Pochwalony jakoimy odpuszczamy nawiekiwieków.



O babkowym czekaniu

No i co z tego, że Edward ucha nie miał i włosów po jednej stronie głowy zakładać za co mu nie było. Tak było z uchem edwardowym i już. We wsi mówili, że księdzu szyby tłuły w oknach, bez opamiętania, jak oszołomiony jakiś, to mu w końcu ksiądz w nerwowości swojej ucho odciął takim nożem cienkim jak paznokieć. Krew ponoć lała się jakby wiadrami wodę nabierać, lekarza zaraz zawezwano, a ten, bo co innego miał robić, w krzyk, że to nie przystoi, a i owszem, ale Edward wiedział za co to swoje ucho stracił, a i ksiądz do grzechu się poczuwać nie zamierzał. Od tamtej pory, a było to jeszcze zanim moje oczy świat przywitały, wiatr na plebanii nie hula, ksiądz zasmarkany nie chodzi, a i Edward ma jedno ucho do mycia mniej.

Ale nie o tym, bo babka moja przy piecu już siedzi, na żar dmucha i wołać na mnie zaczyna, żebym jej pomógł, bo tomność traci. Jak babka się zawieźmie to i u sąsiadów potrafi rozpalić, nachuchać, nadmuchać, drewna swojego z szopy przynieść. Taką to dobrą babkę mam, ale jakoś nikt więcej tego nie widzi. Przychodzą tylko, coś chcą od niej, babka daje w swojej dobroci, Panu Bogu w myślach dziękuje, że pomoc mogła, a oni tylko się odwróca, drzwiami trzasną tak, że zaraz by razem z framugą wyleciały i tylko tyle ich u nas było. I nikt na babkę nie spojrzy inaczej, nie pogładzi jej po siwych włosach, nie dotknie ciepłotą swoich dłoni jej policzka z wrytymi latami w zmarszczkach głębokich. Taka to babka moja jest i tacy są ci ludzie u nas. Tylko taki Edward bez ucha razu jednego się obejrzał i jakby dzień zamienił w niepoznane, jakieś niezbadane, aż babka szczapki drewna rąbać przestała, zamarła jakby na chwilę przed wyzionieniem ducha. I ta babka moja z tym edwardowym wzrokiem na plecach zgarbionych, stała taka przestraszona, aż Edward wzrok swój zabrał i poszedł do siebie, kilka chat dalej znaczy, ale od tamtej pory już nie było tak samo.

Bo to wszystko zimą było, a zimą ludzie mówią, że ciepła więcej potrzeba, że nawet kot i pies się tulą do siebie, że nawet diabeł i anioł, by na chwilę walki zaprzestali, gdyby tylko im Pan Bóg pozwolenie takie wydał. Babka wychodzić już z domu nie chciała, czy to ze zmęczenia, czy ze strachu przed tym wzrokiem edwardowym, tego nikt nie wiedział, a mnie pytać chyba nie wypadało. Bo i co mnie takie rzeczy interesować mają? Tak myślę, że tak babka myślała, gdy tak siedzieliśmy w milczeniu przy pajdzie chleba na śniadanie, a jak babka coś myśli, to to słuszna myśl być musi i mnie podważać tego nie przystoi już na pewno. Ale pewne rzeczy stać się stały i nawet jeśli babka odwrócić wzrok by chciała, wygonić mnie gdzieś do kur, czy krowy oporządzić, to mnie się wydaje, że jakaś jej uczciwość by na to nie pozwoliła. I tak razu pewnego Edward zapukał do drzwi chaty naszej, a babka skinęła tylko palcem powykręcany, żebym się do drugiej izby udał, na siennik najlepiej, bo jutro dzień może i krótki, ale ciężki, bo na targ jechać trzeba, rzeczy kupić, a zanim wyjechać – koła w wozie naprawić. Mnie protestować nikt nie nauczył, więc kroki swoje stawiałem tam, gdzie babkowy palec wskazał, ale zaraz jakby się babka zastanowiła drugi raz i zanim drzwi się otworzyły, usadziła mnie przy stole dokładnie tam, gdzie zawsze ona miejsce grzeje. A potem Edward wszedł do chaty, śnieg z płaszcza wytrząsnął, zdjął go jakby się z dziecięciem świeżo narodzonym obchodził, a potem już tylko podszedł do babki mojej i ją czule w czoło ucałował.

A co to mnie ludzkie głosy interesować będą – tak babka zaczęła, a Edward po głowie się gładzić zaczął i przytakiwać tak jakoś z pewnością siebie jakąś nie na pokaz człowiekowi, ale tak gdzieś w środku jego samego, jakby to o sprawy kluczowe chodzić miało. Bo i chodziło, tak myślę, chociaż żadne na głos słów wiadomych wypowiedzieć nie chciało, nie było widocznie takiej potrzeby, gdy każdy jeden widział jak się sprawy mają. A potem babka w milczenie zatapiać się zaczęła i patrzeć tak przed siebie, tak głęboko, a potem znowu gdzieś w ogień chyba albo w szpary między deskami w podłodze starej. I zdawać by się mogło, że to babkowe milczenie zastąpić może wszystko, co do tej pory usłyszałem w życiu swoim nie za długim, że babka tak bardzo wie, czego nie mówi jak żaden do tej pory nie wiedział. A moje dłonie z odciskami świeżymi leżały wtedy spokojne na stole naszym i czułem pod nimi jakieś ciche oddychanie jakby, a zaraz potem każdy jeden okrucuch chleba, który spadł na niego i każdy jeden puch mączny. Babka moja siedziała tak jeszcze długo i Edward siedział tak przy niej, choć mnie się zdaje, że on siedział bardziej z nią nie tak obok, ale z nią, jakby w tym siedzeniu jednym się stali, jakby to siedzenie na

dwoje podzielili i tylko jedno to siedzenie zostało. A potem Edward wstał od stołu naszego, babkę z zamyślenia powrócił i słowa, że już chyba czas na niego wypowiedział. Babka wtedy podeszła do niego, pogładziła go dłonią swoją z taką miękkością jakiej spotkać u niej nigdy nie zwykłem i Edward poszedł, ale czuć było tak jakby wcale nigdzie nie wychodził.

We wsi i tak nikt złego słowa nie powiedział i żadnego nikt wypowiadać nie musiał, bo babka moja i Edward na targowiska bez siebie jeździli, na polu tylko skinieniem głowy pozdrawiać się zwykli, a pomagać sobie i tak pomagali, jakby w niczym żadnej zmiany nie było, jakby edwardowa skóra nigdy babkowej nie spotkała, jakby edwardowe nozdrza babkowego zapachu nie poznały. Tylko te wieczory, które to zawsze najsmutniejszymi były, bo świerkowe polana zajęte ogniem pstrykały tylko dla jednej pary babkowych uszu, teraz innymi się stały, teraz się coś w tych wieczorach zimowych wypełniło, jakby tego powietrza, co krąży w chacie nagle stało się w sam raz, jakby ta podłoga stara wydawać zaczęła w końcu wystarczającą ilość skrzypnięć pod wystarczającą ilością stóp. Przychodził więc Edward do babki mojej co wieczór i co wieczór pocałunkiem ją witał, a ta przyjmowała je jakby każdy z tych pocałunków tym pierwszym miał być albo i może ostatnim, ale o tym najlepiej wiedzieć może tylko babka. Co było do zrobienia, to robił Edward razem z babką – łatanie dziur w starych koszulach, przebieranie ziemniaków, gotowanie kapusty, a pośród tego wszystkiego niewiele słów było, bo zdaje mi się, że tyle im właśnie tego wszystkiego wystarczyło, tyle im samych siebie wystarczyło, bo widocznie tyle im przed sobą brakowało. Siadywałem nieraz z nimi i ja, by przyglądać się zręcznej pracy ich dłoni, by przysłuchiwać się milczącym rozmowom, by nie pytać babki o nic, a Edwarda nie zasypywać pytaniami kierowanymi ciekawością, co z dziecka jak strumień się wylewa. Moglibyśmy siedzieć tak jak tamtej zimy już na zawsze – tak mi się razu pewnego wydawało, ale nie chciałem mówić o tym babce i Edwardowi, bo niby po co, bo przecież babka moja i Edward doskonale by o tym wszystkim wiedzieli, gdyby tylko zechcieli i gdyby tylko było im to do czegoś potrzebne.

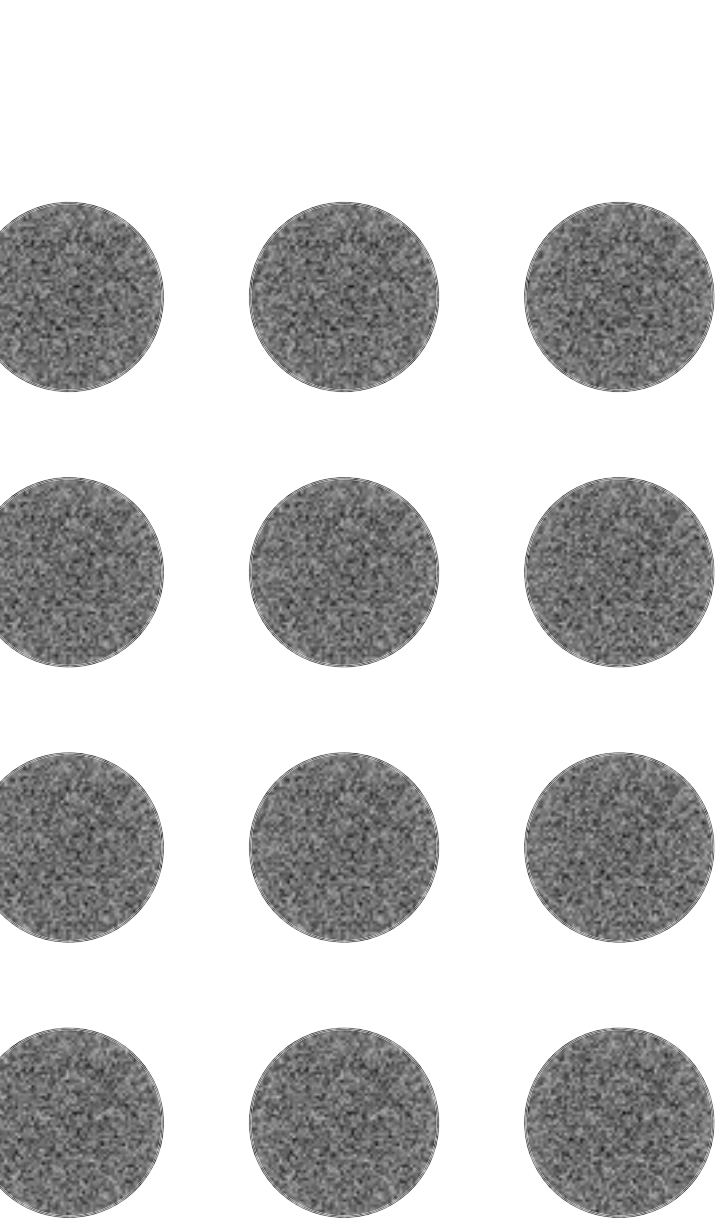
Ale potem Edward przyszedł jednej nocy i zrobiło się jakby poważniej, jakby wszystkie kłębki kurzu fruwające po chacie nagle zamaryły i jakby ta cisza, co krążyła gdzieś ciągle, nagle stała się jakąś zadrą w żaden sposób nie dającą się wyciągnąć. I babka moja też jakby w jeden taki wieczór spoważniała, odwróciła się tylko ode mnie plecami, w ogień zaglądnęła, szczapek dorzuciła i tak pozostali razem z Edwardem, który stał przy stole i nie wiedział, czy siadać powinien, czy kucać obok babki, ale też był tam tak jakoś inaczej, niby to mocniej, niby to bliżej babki chociaż stał przecież dalej. Więc czemu to babka moja poważnieć tak nagle zaczęła? Bo Edward z wieściami przychodził i od razu zaczął mówić zanim buty rozsznurował i zanim jeszcze drzwi domknął chatę chroniące przed mrozem, który nie oszczędzał tamtej zimy nawet tych najtwardszych we wsi. Bo Edward wyjechać do miasta postanowił – takie oto wieści przynosił, babkowy smutek wydobywając gdzieś z głębokości jej duszy. I chociaż poznać po sobie w tamtej chwili nic nie dała, łza żadna jej policzka nie zrosiła, to przecież słychać było noc całą, jak babka moja łka do poduszki, jak spać nie może, jak jej ciało tęsknotą się wypełnia i ciężaru mu dodaje. Edward słowa w końcu w sobie odnalazł i jął tłumaczyć, że wraz z wiosną wróci do babki mojej, bo przecież w jego chałupie dachu już prawie nie widać, że zimy następnej nie przetrzyma, a w mieście o pracę lepiej, pieniądze lepszy i raz dwa sprawy pozałatwia. A babka siedziała w ogień wpatrzona i nic nie mówić postanowiła chyba, tak mi się wtedy zdawało, i aż się bałem czy aby ta myśl edwardowa, nie zabrała jej mowy, jakby wypowiedziała już te swoje wszystkie słowa, które jej dane były. Ale w końcu wstała i siadać zaczęła do stołu, krzesło powoli odsuwać, ale tylko szuranie jego rozcięło ciszę w chacie, zaraz Edward tulić babkę moją zaczął, a mnie niby trochę wstyd za to wszystko wziął, ale nie ma co się kryć chyba, kiedy się widzi takie rzeczy, tylko się uczyć, tylko wzrok takim widokiem karmić, bo nikt nie wie, czy druga taka okazja się nadarzyć może.

Od tamtej pory babka moja czekaniem cała się stała, tym czekaniem do snu mnie kołyszę, to czekanie jej oczy rano otwiera, z tym czekaniem pieśni na ustach w kościele śpiewa. I też babka moja mówić jakby więcej zaczęła, jakby zagadać tę pustkę chciała, nie dać jej do głosu dojść. Za snucie opowieści się czasem zabierze, chociaż nieśmiałością je nasącza, każdego słowa wyczekuje i się zastanawia nad każdym nim z jej ust popłynie. Czasem też wspomni, że edwardowe serce wciąż przy jej sercu bije, ale mówi to wtedy

tak do wnętrza siebie, chociaż obok siedzę, chociaż nie słyszeć nie potrafiłbym, ale to raz, może dwa razy się zdarzyło od tamtego dnia, gdy Edward ostatni pocałunek jej podarował. Częściej za to o innych rzeczach opowiada, wspomnieniami się jakimiś jak szalem otula, wytłumaczyć się chyba sobie stara tę tęsknotę, co ją wypełniła i wylać się nie daje. Mówiła raz babka moja o tym, że tej tęsknoty to za dużo jest na świecie, że ludziom i połowa by jej całej wystarczyła, a możliwe, że i tego byłoby za wiele. A zaraz potem w milczeniu się znów pogrzyżyła, nad tym brakiem chyba się pochyliła, co go poczuła, gdy drzwi za Edwardem ostatni raz zatrzasnąć się miały, ale też którego nie czuła, dopóki go edwardowa duszyczka nie zastąpiła. Ale zaraz potem z szybkością się tych myśli uwolniła i mi opowiadać zaczęła o Panu Bogu, który czekaniem każdego na ziemi obdarza i jej się czasem zdaje, że tego czekania to Pan Bóg w nadmiarze daje, ale gdy już tak babka moja pomyśli, to zaraz ją jakaś pokora zabiera, chociaż, mówi babka moja, ona to już się w życiu swoim naczekała i Pan Bóg mógłby już komuś innemu to jej czekanie podarować. I wtedy to już zupełnie odchodzi myślami od tej chaty naszej, od tej wsi w zimie pograżonej, która wiosny wypatruje, bo przecież już zaraz nadejdzie, i nagle tej babki mojej już nie ma tu obok mnie, ale jest tam, gdzie mnie jeszcze nigdy nie było i gdzie chodzi się nagusieńko, zupełnie bez odzienia żadnego, bo nie ono jest tam najważniejsze.

Przy tej drodze, co biegnie poza wieś naszą, babka moja siada teraz co dzień, krzesło z domu zabiera, grube ubrania zakłada, żeby płuc nie przeziębic i siada tam na głosy ze wsi zupełnie już nie zważając. Siedzi tak godzinami, patrzy przed siebie, na tę drogę, na jej koniec, który w oczach się rozmywa i wypatruje Edwarda, bo przyjść ma lada dzień, ufa mu babka moja i nie ufać w jej wyobraźni się nie mieści. Kiedy już go wypatrzy, tak sobie myślę, pewnie nie powie słowa żadnego, on też do słów pierwszy nie będzie, tylko się wezmą za dłonie swoje, oswojone ze sobą, znające się już mocno, i pójdą tak do chaty naszej, żeby znów robić te rzeczy wszystkie, co ich zajmowały do tej pory. I już Edwardowi myśli o mieście po głowie krążyć nie będą, babka moja kaleczyć dłoni w roztargnieniu nie będzie, ja za to wstawać będę o świcie i chodzeniem na palcach chronić ich będę, żeby im dzień za szybko nie wstawał, żeby się jeszcze ich ciepłoty mieszały pod kocem grubym.

Żar już w piecu mocny, babka moja wołać na mnie przestała i stoi teraz w tym zastygnięciu swoim, nasłuchiwać zaczęła, chociaż głuchota wstrętą ją bierze od wiosen kilku, a ja przyglądam się tej babce mojej, jak ona piękności nabiera z chwili na chwilę, jak jej się w oczach blaski jakieś rozjaśniają, jak jej usta czerwieńsze się robią, jakby słońce wiśnie latem muskało. A gdy tego stania babkowego zdaje się być już wystarczająco, podchodzi do stołu ze spokojnością największą, bierze krzesło jedno, to na które do tej pory jej wybory padały, na którym godziny już wysiedziane, i ku drzwiom kierować się zaczyna, mimo nocy czarnej, mimo sienników gotowych, by na nich ciała ułożyć. Przystaje jeszcze na chwilę maleńką, znów słuch swój wyostrza i zdaje mi się, że tylko ona może tyle usłyszeć, ile właśnie słyszy, bo tych kroków coraz mocniejszych nikomu innemu nie byłoby dane wyszukać wśród pohukiwań sowych, wśród wiatrów drzewami kołyszących. Wychodzi więc babka moja nic do mnie nie mówiąc, niczego mi nie tłumacząc, a jedynie w duszy Panu Bogu dziękując, że już od czekania uwolnić ją postanowił. Tak sobie o tym wszystkim myślę teraz, a gdy drzwi chaty naszej się już zamykają, gdy już tylko babki mojej zapach krąży gdzieś wokół, przymykam lekko oczy swoje zmęczone i szeptem do Pana Boga mówić postanawiam. Panie Boże, mnie czekania nie będzie za wiele, gdy już tego babkowego mi dołożysz. Więc się już o nic nie martw, Panie Boże, wszystkie sprawy są na miejscu swoim, a za mojej prośby wysłuchanie serdecznie podziękować mi wypada. Tak to właśnie do Pana Boga mówię szeptem najczulszym i zaraz babkowych i edwardowych kroków nasłuchiwać z cierpliwością zaczynam.



Komiks

1

Przepowiadano, że partyzantka doprowadzi ją do zguby.

Wskazywano różne przykłady.

Mówiła o tym sama ona – cyniczna, posiniaczona i zmęczona starucha: Historia.

Wszak członkowie ruchu oporu nie trafiają na salony, do pałaców, na świeczniki.

Partyzantka inaczej nagradza swoje dzieci.

Z buntownikami jest jak z niektórymi malarzami.

Tacy Van Gogh albo El Greco... Docenią cię dopiero po śmierci.

Przepowiadano jej plugawy los.

Karolina nic sobie z tego nie robiła.

Aż do dziś.

2

Ściany wieżowców mają granatowy kolor. Są jak szklane kurtyzany ukazujące nocy swoje nogi w pełnej okazałości: od ściśniętych szortami ud, poprzez kolana podkreślone ciemniejszym paskiem pończoch, po stopy uniesione szpilkami kolumn i schodów.

Księżyc kocim spojrzeniem wbija się w czarne niebo. Usatysfakcjonowany, bo przez kilka jeszcze godzin, przynajmniej teraz nie ma nic równie pięknego.

Karolina maszeruje żwawo, z trudem ukrywając nerwowość. Spod narzuconego na głowę kaptura łypią na boki dwie ledowe latarenki.

Jeszcze nic się nie dzieje.

Nic złego.

Nie dzieje się przecież nic złego.

W państwie dobra.

Czegóż się bać?

Karolina uśmiecha się z drwiną.

Zaciąga się elektronicznym papierosem.

Wypuszcza z ust chmurę dymu. Tego akurat nie pocujemy. Skorzystajmy z podpowiedzi autora:

chwilowy mini-cumullus pachnie czereśniami i kiwi.

3

Karolina wyrażane o niej opinie przeważnie miała gdzieś.

To, że w szóstej klasie nie potrafiła pitogarem rozwiązywać równań.

Że wolała pisać niż czytać. Czytała coś innego niż było jej pisane.

Że gorszyła młodsze koleżanki, chodząc w podartych rajstopach. Że pierwsza w klasie farbowała włosy na zielono, a kiedy zrobiło się to modne i powszednie, to ciemne włosy formowała w samurajskie koki, strzygła do skóry pasma nad uszami i zakładała wyprasowane w kant białe koszule z czarnym krawatem leżącym równo pomiędzy jej piersiami.

Że dwa górne guziki koszul zawsze były rozpięte, więc w intrygujący dekolt – niczym we włoską fontannę, do której wrzuca się monetę na szczęście – zerkało wielu młodzieńców z nadzieją na spełnienie niewypowiedzianego na głos życzenia.

Skąd mogli wiedzieć? Ci zawistni.

Że Karolinie żadna dłoń nie rozpięła wtedy dalszych guzików?

Dopiero on.

4

Nie wiązał sznurowadeł tanich tenisówek, ubierał koszule na lewą stronę, na przerwach między lekcjami rzucał gdzie popadnie swój plecak i wychodził ze szkoły zapalić szluga, jakby to była najwłaściwsza rzecz w tym liceum, jednym z najlepszych i najpoprawniejszych przecież w całym województwie.

Słyszała, że miał za dużo romansów.

Trzymał się z szemranym towarzystwem.

Pisał dobre wypracowania.

Był kiepski z chemii.

Interesował się fizyką. Bilardem. Nieciekawą dla innych muzyką.

Ponoć obstawiał wyniki meczów baseballa czy innego hokeja na trawie. I czytał komiksy.

Dlatego. Więc dlatego.

5

Karolina odwraca się i podejrzliwie łypie na przejeżdżające samochody.

Wyciąga z kieszeni sztucznego papierosa i zaciąga się mocno.

Zauważa, że na dłoni ma nadal czerwone pręgi, nie zmyła wszystkiego.

Za paznokciami dopatrzeć się można dowodów zbrodni.

Przecież nie obetnie sobie palców!

6

– Mówili, że odsiadujesz karę za niepoprawne zwroty.

Zamknęła z trzaskiem książkę od angielskiego, żeby nie dostrzegł luźnych kartek, które skrywała wewnątrz.

Bez słowa rozsiadł się wygodnie po drugiej stronie stolika, który zagospodarowała własnymi rzeczami. Sala była pusta, za co Karolina podziękowała w duchu pół godziny wcześniej.

Demonstracyjnie przyjrzała mu się z bliska.

– Słuch masz chyba dobry – wydała werdykt oględzin – ale z narządem mowy są jakieś kłopoty.

Nie zapytałeś, czy możesz się przysiąc.

Zmrużył oczy. Przygryzł monetę, którą rzuciła mu tymi słowami; ocenił, że jednak srebro.

Uśmiechnął się. Więc dlatego.

7

– Żeby było jasne – powiedział. – Jako matu-
ralny rocznik staramy się tu wszyscy, by wy-
paść w programach, osiągnięciach i wynikach
jak najwyżej. Mamy spore szanse. Minister-
stwo będzie promować tych, co wykazali się
najwyższymi standardami przy realizacji i dal-
szym kreowaniu linii, które wyznaczył rząd. Zła-
piemy wiatr w żagle. Popłyniemy szybciej i da-
lej. Niż inne bloki, grupy, reprezentacje, części
regionu. Będą, moja droga, większe możliwo-
ści na lepsze studia, lepszą pracę, stanowiska,
no i, kurwa, pieniądze. Wystarczy się postarać.
Dostać się do tego budynku i w ten pion edu-
kacji nie było przecież łatwo, nie? Teraz należy
odpowiednio pracować nad resztą. Wystarczą
dobre oceny, zwycięstwa w olimpiadach po-
między szkołami. Aż do centralnych rozgry-
wek. Playoffy, kumasz? Trzeba budować ran-
kingi. Te oficjalne. Ministerstwa nie obchodzi,
ile kresek wciągasz przez cały wieczór, by za-
kuć materiał albo kiedy wciągasz je w week-
end po tygodniowym zakuwaniu. Nie intere-
suje go, jakim autem parkujesz przed szkołą,
przed kim zrzucasz majtki, czy w ogóle nosisz
majtki, czy masz tatuaż nad pośladkiem, czy
podbite oko jest wynikiem zniecacka otworzo-
nych drzwi czy jednak efektem złego humoru
rodzica albo odrzuconych amatorów społecz-
nego opiekuna. Ważny jest licznik najlepszych
ocen. I spełnienie zaleceń ministerstwa co do
dobrego zachowania. Czaisz?

8

Nie zaprzeczy. Spodobały jej się wtedy jego
usta widziane z takiego bliska.

To, jak siedział rozparty na krześle.

Jego niebieskie oczy.

Głos, któremu było bliżej do niskiego tembru
dojrzałych, doświadczonych... no... doświad-
czonych we wszystkim mężczyzn; głos taki
inny niż piski lub obandażowane po mutacjach
słodkie śpiewy większości jej rówieśników. Tyle
że jego słowa... Więc dlatego.

9

– A ja tu słyszę – mówił – że na ostatnich stro-
nach zeszytów wymazujesz jakieś głupie ry-
sunki wraz z hasłami, co bardziej pasują do
dawnych rosyjskich anarchistów niż do współ-
czesnej małolaty.

Jesteś prosowiecka? Jaka jesteś? Co chciałabyś
promować? Gdzie leży twoje pro? Albo ten dzi-
siejszy wybryk. Uwaga na lekcji z ekonomii. Że
prosisz nie o wyliczenia, jakie środki finansowe
wyszły do społeczeństwa w ramach socjalnej
pomocy, ale jaką skalę obciążeń społeczeń-
stwo poniosło, by tę pomoc sobie samemu
sfinansować. Co ty? Zjadłeś za dużo internetu?
Weszłaś do podziemia z opozycją? Dobrze że
istnieje od niedawna ustawa o cenzurze co do
niektórych treści zamieszczanych w globalnej
sieci. Gdyby nie to, twoja głowa produkowa-
łaby bardziej szaleńcze pomysły. Niż to, co...
Co masz na głowie.

Spojrzała w podłogę.

Bardziej, by ukryć rumieńce.

Nie zaprzeczyłaby wtedy. Wściekłości i pod-
nieceni.

10

– Nie jestem – powiedziała przez zaciśnięte
usta.

– Co?

– Nie jestem „twoja droga”.

Mimowolnie wyprostował się na krześle.

Wstrzymał oddech.

– Nie zamierzam się tłumaczyć – wyjawiała. –

Czego chcesz?

Wzruszył ramionami. Spojrzał na boki. W po-
mieszczeniu nadal byli tylko we dwoje.

– Realizuj narzucony plan. Dokładaj swoje do-
bre oceny do wspólnego rezultatu. Przestań
zadawać głupie pytania. Słyszałem, że masz in-
teresujące statystyki w pewnych dziedzinach,

przydadzą się one szkole.

– Szkoła cię do mnie przysyła?

– Nie, mała. Interes nas wszystkich. Chcę być za parę lat dobrze ustawiony. Wiesz... Stanowiska czekają. Na ambitnych, pokornych... – I?

– ...na zgodnych z linią.

– Dobrze ci się po niej chodzi? – spytała.

– Bywa różnie. Przynajmniej jedno wiadomo.

– Co?

– Że z góry widać tych, co się nie zgadzają.

– Pewnie nieciekawym widok tworzą.

– Jak to w dołach. Slumsach. Na spodzie piramidy.

– Wiesz co, faraon?

– No? – Uśmiechnął się zawadiacko.

– Spieprzaj z mojego grajdołka.

11

Poszedł.

Dopiero później odkryto przed nią karty.

Że to był pierwszy test.

Do ruchu oporu nie dołączysz poprzez aplikację zainstalowaną na smartfonie.

Do podziemia prowadzą korytarze pochowane w lesie.

Do ludzi lasu.

I tak jak przed ekskluzywnymi klubami do tańczenia, picia i pierdolenia... Przed korytarzem stoją selekcyjnerzy.

Oni zadecydują o twoim wejściu.

To on ją w końcu zaprosił.

12

Karolina skręca w boczną uliczkę.

Powstrzymuje się przed biegiem.

Czuje, że coś jest nie tak!

Chwyta za pustą kieszeń i powstrzymuje rękę,

co sięgać chce pod bluzę. Po raz kolejny przypomina sobie, że nie ma przy sobie żadnego z telefonów. Wyłączone schowała przecież

w bezpiecznym miejscu wraz ze szkicami, kontaktami, starym tabletem, nowym tabletem, farbami,

bezprzewodowymi słuchawkami, z pamiętkami, kluczami i z narzędziami zbrodni.

Ubrana i schowana po kaptur – czuje się goła.

Bezbronna.

13

Z naprzeciwka idzie wielki gość.

Dwanaście metrów ciała bez stwierdzonego cholesterolu skrupułów, z pięścią uzbrojoną

w pełnomocnictwo wydane przez niezawisłe i sprawiedliwe sądy współczesnego państwa

gotowe wydać wyrok śmieci w formie zaocznej, bez prawa do apelacji.

Facet mija ją bez spojrzenia.

Karolina odwraca się jeszcze. Chce upewnić się, że tupot stóp oddziałów służb antykorupcyjnych słyszy tylko we własnej głowie, że jest

jedynie marą, koszmarem wybudzonego ze snu o szóstej rano przedsiębiorcy, któremu zapomniało się opłacić VAT.

Nikogo nie ma.

Nikt jej nie śledzi.

Nikt nie zamierza wyważyć jej drzwi.

Chyba.

14

– Każdy ma coś do zaoferowania, prawda? Każdy może po swojemu dodać coś od siebie, by

kiedyś wreszcie runęły mury. Prawda?

Stała przed nim, jeszcze niepewna, czy ma słuchać dalej czy jednak nie. Powinna odejść

i zapomnieć? Czy jednak zrobić krok naprzód? W jego stronę. W kierunku złych przepowiedni. W jego zapach.

(Dwa miesiące po ich pierwszym spotkaniu).

– Zawsze masz wybór – kontynuował, czytając w jej myślach. – I pamiętaj, że potem będziesz mieć pretensję już tylko do siebie samej.

Wybierzesz życie wiecznego użytkownika pilota od telewizora czy tego, co w telewizorze

może pojawić się na rysopisie poszukiwanego lub na zdjęciu skazanego na internowanie? Pamiętasz pierwsze aresztowania w 2022 roku?

Skinęła.

– Wiesz, o co zapytał mnie mój przewodnik? Kiedy stałem przed nim, jak ty dziś przede mną?

– No?

– Co twoje pokolenie może dać światu? Prócz polubień na facebooku i udostępniania chwalebnych haseł. Co przekażecie światu prócz odkrytych łydek?

15

Zostało kilkaset metrów. Karolina dotrze do punktu, w którym spotka się z łącznikiem odpowiedzialnym za wywiezienie jej w bezpieczne miejsce.

Wykonała swoje zadanie.

Schowane w kieszeniach dłonie pieczą od zaszniętej, niewyszorowanej czerwieni.

16

Czuła go w sobie. Wypełnione krwią jego ciała jamiste, jego członek wypełniający ją w miejscu, które dotąd nie uważała za puste, dopiero on pokazał jej różnicę, więc zszokowana tym, że pustka może tak łatwo pojawić się, a potem ulec chwilowej śmierci – zdychała w bólu i ekstazie.

Krzyknęła.

Kiedy szarpnął za jej włosy, pociągnąwszy głowę ponad poduszkę.

Jęknęła.

Zacisnął dłoń na jej pośladku i wchodził w nią coraz szybciej.

Dyszała z otwartą buzią. Czuła pot spływający po policzku.

Jego poczuła na brzuchu, na piersiach i tuż przy uchu.

Zdychała drugi raz.

Siąkała.

Na tyłku i udzie czuła ciepło jego własnej śmierci.

Tego wieczoru zmartwychwstali oboje.

17

Karolina rysowała.

Całe życie rysowała.

Od dziecka coś kolorowała, kopiowała na papier fragmenty uchwyconej rzeczywistości, dodawała własne widzimisię, przekształcała, urozmaicała. Mając sześć lat, pierwszy raz przeczytała komiks.

Zrozumiała, że w ten sposób też można mówić.

Więc dużo milczała.

I tak dużo mówiła.

18

– Co mogę wam dać? – zapytała go.

– Rysunki.

– I tyle?

– Aż tyle.

– Chrzanisz.

– Myślisz, że walka z systemem to głównie manifestacje, bomby albo rzucanie się pod czołgi? To tak nie działa. Chyba że w dawnych wojnach. Teraz jest inaczej. Jedni są od bomb, inni od retoryki, ty pozostań przy sztuce. Maluj dla nas.

– To wydaje się takie banalne.

– Niekoniecznie. Spójrz, dokąd dotarliśmy? Kiedyś mogliśmy śpiewać, co chcieliśmy. Filmować, pisać, krzyczeć, wystawiać, dawać innym. To od biorącego zależało, czy mu się podoba.

Czy chce. Czy robi coś z tym dalej. A dziś?

19

Karolina przyciskająca szablon do ściany. Potrząsająca sprayem. Naciskająca spust.

Strzelająca długo.

Chwytająca za następny magazynek. Innego koloru.

Sięgająca wysoko, by fragment muru był idealnie zapełniony kolorem.

Zerkająca na cudze dłonie w rękawiczkach, na blade prostokąty wycięte w zamaskowanych twarzach. Jej kompani, jej współcześni bracia ninja. Pomagający naklejać, malować, wspinać się, uciekać.

Taki postawiła warunek.

Jeśli ma rysować dla ruchu oporu, to nie porzestanie na samej twórczej pracy.

Jeśli zrealizuje komiks – pomoże przy druku i dystrybucji.

Jeśli stworzy szablon – będzie uczestniczyć w malowaniu ściany.

– Jeśli to, co czuję na nodze, faraonie, jest tym, co chciałabym mieć teraz w ustach, to może wypuścisz mnie z objęć i zmienimy pozycję?

Tak. Na początku współpracy z podziemiem stawiała różne warunki, padały różne propozycje.

20

Otrzymała scenariusz. Czasem czyjś pomysł. Czasem jakieś zadanie do wykonania. Chwytała za swoje ołówki, atramenty, programy graficzne, kartony, stare zdjęcia rentgenowskie, nożyczki, spraye, bloki, blejtramy. Robiła się coraz popularniejsza. Coraz więcej osób pochwalało jej styl. Czytano i oglądano jej prace nie tylko dlatego, że krążyła w drugim i trzecim obiegu niczym tajemniczy, nieznaną z nazwiska i twarzy shinobi, wkradający się do domostw i w umysły ich mieszkańców. Szło dobrze.

21

Do dzisiaj.

Na tajny lokal będący tymczasową drukarnią zwykłych ulotek, jak i większych produkcji,

w tym jej komiksów, przeprowadzono obławę.
Cud że zdążyła ulotnić się z niej sama.
Musiała uciekać, porzuciwszy z przekleństwem
swoje ostatnie dzieło.
Uruchomiła procedury awaryjne.
Przepakowanie.
Chowanie.
Podróż do punktu przerzutowego.

22

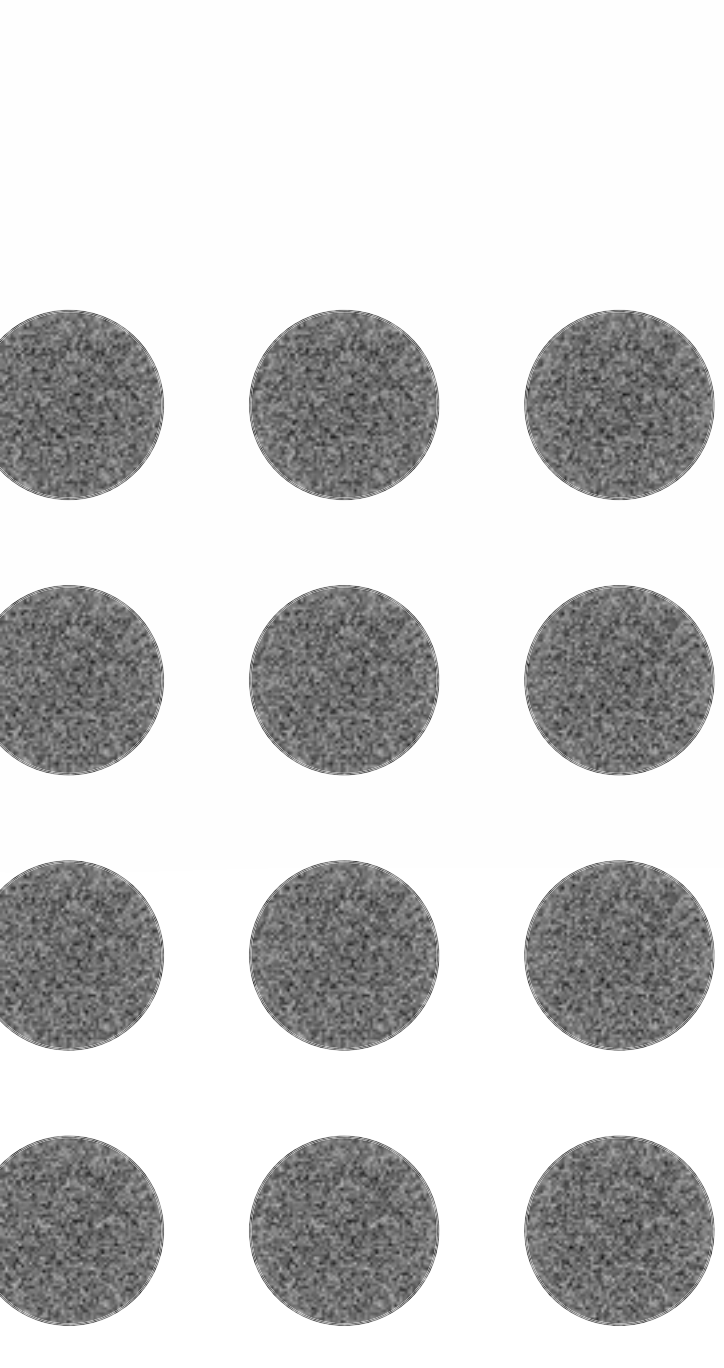
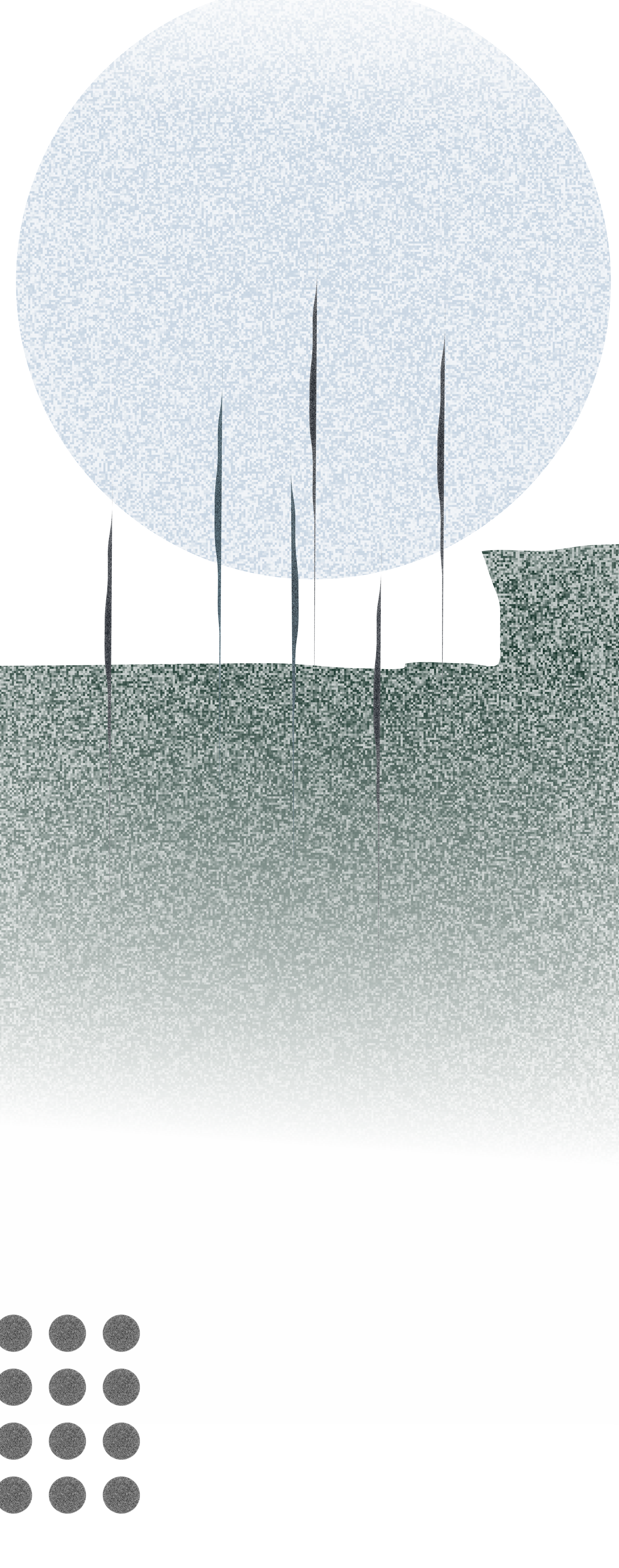
Widzi budynek w oddali. Wystarczy wejść na
trzecie piętro. Zapukać pod ósemkę. Wypo-
wiedzieć hasło.
Karolinę przywołuje przez moment kocie spoj-
rzenie na niebie.
Księżyc wisi nad blokiem niczym zepsuta, ra-
dioaktywna antena skierowana ku sygnałom
z lepszego świata.

23

– Dobry wieczór, obywatelko.
Pojawili się nagle, z różnych stron.
Czterech funkcjonariuszy dobrze znanego de-
partamentu.
Zrobiła krok w bok – niepotrzebnie.
Chciała wymknąć się tyłem – bezskutecznie.
– Pani Karolino – mówi jeden z nich. – To bez-
celowe. Może czasami trwa to trochę dłużej,
ale w ostateczności zawsze będziemy wiedzieć
wszystko. Pozwoli pani...
Czekali na nią. W jakiś sposób wiedzieli, jak
przemieszcza się po mieście.
– że przeczytam akt oskarżenia. Chyba że wo-
łałaby pani, bym to narysował?
Jeden z funkcjonariuszy kaszle chichotem.
Karolina oddycha głęboko.
Wyciąga rękę w bezbronnym geście.
– Nie wiem, o co chodzi. – Z trudem wypowia-
da słowa. – Jestem niewinna. Mam prawo...
– Prawo to akurat pani złamała. Zaraz prze-
czytam paragrafy. Zresztą, proszę spojrzeć. Na
dłoniach wciąż są widoczne tusze albo inne
farby pani przewinień.

24

Przepowiadano jej marny los.
Karolina wie coś więcej.
Nigdy nie słuchaj czarownic.
Nie bój się duchów. – Usłyszała dawno temu,
kiedy umarł jej tata. – To ludzi należy się bać.
Karolina unosi podbródek. Patrzy w ślepia wła-
dzy.
– Nie mam niczego przy sobie – mówi. – Po
prostu kluczę po całym mieście. Jak mnie na-
mierzyliście?
Tamten krzywi usta w półuśmiechu.
– Przecież mówiłem, że wiemy wszystko. I mo-
żemy tak dużo. Zaraz, zaraz. Jak to było z tobą,
obywatelko? Ach tak! Czereśnie i kiwi.



Czajka

[zeznania świadka Czajki Pawła,

19.12.2013–1.07.2015, fragment]

Nazywam się Paweł Czajka, urodziłem się 5 lipca 1997 roku, mieszkam w Warszawie, gdzie uczęszczam do społecznego liceum ogólnokształcącego numer 32. Świadomy znaczenia moich słów i odpowiedzialności przed prawem, przyrzekam uroczyście, że będę mówił szczerą prawdę, niczego nie ukrywając z tego, co jest mi wiadome. A jest mi wiadome, że mój ojciec, Marian Czajka, jest terrorystą.

Wiem to od 18 września 2013 roku. Wtedy mi opowiedział. Jestem świadomy, że jako syn oskarżonego nie mam obowiązku składania zeznań. Postanowiłem jednak opowiedzieć prawdę, żeby uwolnić się od brzemia, którym obarczył mnie ojciec, dopuszczając się czynu, którego się dopuścił.

Robię to również dlatego, że decyzje ojca zawały na całym moim życiu, z którego nie jestem zadowolony. Można powiedzieć, że nie urodziłem się pod najszczęśliwszą gwiazdą. Ba, gdyby znalazł się ktoś, kto by uznał, że ja, Czajka Paweł, nie urodziłem się nawet w głupim czepku, nie sposób byłoby nazwać tego człowieka malkontentem. Choć rzeczywiście, kiedy przyszedłem na świat, moje czarne włosy oblepiał podobno gęsty, krwawy glut śluzu, co mogło tego czy owego tudzież tą czy ową wprowadzić w błąd. Matka moja zmarła w połogu, po – czym jasno widać, że żaden Anglosas, tym bardziej znając moje dalsze losy, nie orzekłby, jak to mają w zwyczaju mawiać o dzieciach, którym sprzyja fortuna, mieszkańcy Albionu – że ja, syn Elizy i Mariana, urodziłem się ze srebrną łyżeczką w ustach. Mieszkańcy naszego szczególnie wesołego kraju z wrodzonym optymizmem skonstatowaliby, że zawsze mógłbym mieć gorzej, złośliwcy, że mam przesrane, sam zaś zwykłem po prostu mawiać, że mam równiuteńko przejebane. [Przewodniczący zwraca zeznającemu uwagę na język.]

Bardzo przepraszam. Nie umiem opowiadać o moim życiu z dystansem. Jestem nieszczęśliwy. Chodzi o to, że zawsze miałem trochę pod górkę, ale to, co ojciec zgotował mi rok temu, po prostu przekracza moje siły. Cały ten proces, transmisje na żywo, wywiady, dziennikarze wystający pod domem, artykuły, zdjęcia. Manifestacje, politycy. I wiem, ja to zwyczajnie wiem, że kiedy wybrzmia mowy końcowe i zapadnie wyrok, nic nie wróci do normy jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. A gówno. Za przeproszeniem.

[...]

Już, kiedy pojawiły się pierwsze doniesienia o zamachu, w szkole zaczęły się żarciki. Wszyscy wiedzieli, że mój ojciec pracuje w oczyszczalni. Bardzo dobrze wiedzieli. A kiedy światło dzienne ujrzały szczegóły, w beczcze śmiechu urwało się dno. Ludzie gadają, że żadna praca nie hańbi, ale to bzdura, w praktyce wygląda to zupełnie inaczej. Hańbi – nas, dzieci sprzątaczek, kierowców autobusów, śmieciarzy, ochroniarzy, pielęgniarek, policjantów... Hańbi nas w oczach potomstwa ludzi zatrudnionych w prestiżowej instytucji Szlachta nie pracuje. Bo szlachta nie pracuje. Szlachta ma pieniądze. Tak po prostu jest i trzeba się z tym pogodzić. No więc łatwo sobie wyobrazić, z czym musi się mierzyć syn samotnego ojca zatrudnionego w oczyszczalni ścieków. Robili mi spłukę i mówili, że to wizyta rodzicielska. Nasikali mi do plecaka i powiedzieli, żebym przekazał tacie. Rzeczy, o których wstydzę się mówić. Używane książki, używane ubrania, używane dzieciństwo i używany ja, i gówno, gówno, gówno – płynęło w moich żyłach, wżerało się w skórę, żywiłem się nim i byłem nim, a przynajmniej w oczach tych ulepionych z lepszej gliny, synów adwokatów, córek dentystek, dzieci telewizyjnych dziennikarzy.

[...]

Ojciec powiedział mi o tym zaraz następnego dnia. Pamiętam, że przebudziłem się, kiedy wrócił z nocnej zmiany. Krzątał się po kuchni i łazience, ogarniał siebie, ogarniał śniadanie czy tam kolację. Potem przyszedł do mnie. Kiedyś mi powiedział, że najbardziej to lubi właśnie te nocne zmiany. Tę drogę wieczorną. Powietrze już rześkie, ale asfalt stygnie powoli, a stygnąc, pachnie miejską petrychorą, nawet kiedy nie pada deszcz, jakoś to ciepło skrapla się na betonie, może od spodu. No i lubi żółte światło latarni na chodnikowych płytach, i liście drzew poruszające się w tym świetle jak szaro-złoty kalejdoskop. Tak mi mówił. Ale ja myślę, że jemu najbardziej chodziło o puste ulice, bo chyba też się wstydzi przed ludźmi, że tak mu się nie powiodło i musi po nocach gówna cedzić.

Ja nie wiem, pewnie każdemu jest w jakiś tam sposób ciężko, ale jakoś... No, mój ojciec nie chła, nie bije, nie krzyczy. Ale jest taki jakiś słaby. Może za bardzo się stara. Zarabia tę minimalną krajową, a całą kasę pakuje we mnie, w to liceum. A może to po prostu nie jest miejsce

dla takich jak ja, takie liceum. Jak spotykałem się z Ewą... Ewą Jakowlew... No, ona też długo tego nie wytrzymała. Po paru tygodniach powiedziała, że już nie da rady, że jej przykro, ale nie może. Nie mam jej tego za złe, tu nie chodziło o miłość ani nic. Też w szkole nie miała życia. Rozumiecie, taki... mezalians. Mezalians w liceum. A potem znów się przeprowadziliśmy z ojcem, znów trochę dalej od centrum, od szkoły, trochę taniej. I znów byłem trochę bardziej sam, i dobrze. Zresztą, to wszystko wina ojca.

[...]

Tak jak mówiłem, ojciec zarabia mało, ja dorabiam po szkole tyle co nic, daję korki z polskiego. No i to wszystko idzie na czynsz, na jeżdżenie, na bilety. Ale najwięcej kosztuje moja szkoła. Ojciec dwa razy prosił o podwyżkę. Rozmawiał z szefem, ten szef to taki ludzki pan, on wszystko rozumiał, te wydatki i w ogóle, tylko nie mógł nic zrobić, to nie zależało od niego, podwyżki nie dał. A ojciec nie mógł zmienić pracy. No, bał się. Bo gdyby nic nie znalazł, to z niczym by został, a ryzyko duże, bo on ma 58 lat. Pewnie dlatego go wybrali. Wiedzieli, że się nie odważy odmówić. Ktoś młodszy, bogatszy, bardziej ogarnięty by się na nich wypiął i cześć. No a ojciec to zrobił i dopiero się zaczęło. Opowiedział mi...

[tytuły z prasy drukowanej oraz cyfrowej, 18.9.2013–5.7.2015, wybór chronologiczny]

Poważna awaria kolektora Południe.

Hektolitry ścieków trafiają do Wisły.

Alarm w Zatoce Gdańskiej – czy warszawskie ścieki zabiją Bałtyk?

Fekalia prezydenta Warszawy płyną przez Polskę.

Gigantyczne koszty doraźnego usunięcia awarii kolektora Południe. Kto za to zapłaci?

Warszawa poradziła sobie z awarią, kolektor znów działa.

Minister środowiska składa zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa przez Urząd miasta Warszawy.

NIK i prokuratura badają awarię kolektora Południe.

Premier żąda dymisji prezydenta Warszawy.

Prokuratura bada hipotezę udziału osób trzecich w doprowadzeniu do awarii kolektora Południe.

Nowe ustalenia w sprawie awarii Południa.

Katastrofa ekologiczna na Wiśle — wzajemne oskarżenia rządu i włodarzy stolicy.

Wiemy, kto nawarzył kałowego piwa – kliknij i dowiedz się już teraz!

Zatrzymanie pracownika kolektora Południe.

Marian Cz. działał na zlecenie rosyjskich służb?

„To szczucie” – premier odpiera oskarżenia.

Wędkarz wyłowił TO MONSTRUM nieopodal kolektora Południe. Kliknij i zobacz zdjęcia.

„Sam się osrałeś, balasie!”. Wulgaryzacja debaty publicznej.

Rusza proces Mariana Czajki.

Marian Czajka przyznaje się do winy.

Naciski na Mariana Czajkę?

Potężna manifestacja w obronie Mariana Czajki.

Marian Czajka – kim jest sługus totalnej opozycji?

Masowe protesty przeciwko Marianowi Czajce.

Nowe fakty w sprawie Południa. Czajka działał na zlecenie rządu?

Zamieszki w Warszawie. Rząd wprowadza godzinę policyjną.

Sprawa Czajki: rząd traci większość. Kraj pogrąża się w chaosie.

Sąd Najwyższy przejmuje proces Mariana Czajki.

Jutro ogłoszenie wyroku w sprawie zamachu na kolektor Południe.

Jak atak na oczyszczalnię ścieków zniszczył Polskę.

[transkrypcja nagrania rozmowy wiceministry zdrowia Poli Szumowskiej z marszałkiem województwa mazowieckiego Michałem Lubomirskim i dyrektorem Oczyszczalni Ścieków Południe Adrianem Wyczłą z 1.09.2013, fragment reportażu „Taśmy” Jana Czułnowskiego opublikowanego przez „Dziennik Demokratyczny” 14.02.2014]

ML – Słuchaj, k*rwa, ten pajac to ile się już spóźnia? Możesz do niego przedzwonić?

PSz – Nie no, skończył mi się transfer na telefonie, daj mu chwilę. Mówił, że musi nakarmić rybki.

ML – A, no chyba że tak. Ale to tymczasem weź mi powiedz, o babski ch*j chodzi z tą oczyszczalnią? Nie lepiej pie*dolnąć coś ten, jakiś most albo Siekierki? To by był efekt dopiero.

PSz – No, no, to samo mówiłam, ale prezes stwierdził, że by było za grubo już. Poza tym wiesz, kur*a, śmiech jest najlepszą bronią. A co śmieszy ludzi w tym kraju?

ML – Gówno.

PSz – No i właśnie. I jak taki klocek się przylepi do Czaskiego, gostek polecą w sondażach i cześć, po kłopotcie. No, mamy plan...

ML – Jaki plan?

PSz – K*rwa sprytny! (śmiech) Jak pi*rdolnie-
my tę oczyszczalnię i cały ten syf się zleje do
Wisły, to weź pomyśl. Nasi w internecie ukręca
z tego gówna taki bat... A jego elektorat, wiesz,
te je*ane lewaki, k*rwa, ekoterroryści, też się,
k*rwa, obsrają, jak ich księciunio zaje*ie całą
Wisłę gównem. Spuszczają się nad jakimiś bo-
leniami, k*rwa, brzanami...

ML – No ta, ta. Ma sens. Tylko żeby się obyło
bez trupów, nie? A kwestie techniczne?

PSz – Mnie to tam koło p*zdy lata, Wyczha ma
się tym zająć.

ML – A czemu on na to idzie? To nasz?

PSz – Bezpartyjny, ale żona kandyduje na rad-
ną do sejmiku wojewódzkiego, obiecałam, że
załatwisz jej jedynekę. To chyba nie będzie pro-
blem?

ML – Nie, nie.

PSz – No i musimy mu zapłacić, ale to pójdzie
z Funduszu Ochrony Środowiska, prezes po-
wiedział, że pchniemy poprawkę, żeby mu
podnieść pensję. On roz*ebie tę rurę, on ją na-
prawi, to nagrodę jeszcze dostanie.

ML – A zamierza w ogóle przyjść? Ja tu nie
mam, k*rwa, całego dnia. Zaraz mnie szlag
trafi. Mam zapie*dol przez te baby, k*rwa, od
je*anej aborcji, rozumiesz, policję z całego wo-
jewództwa muszę przerzucić do miasta.

PSz – Nic mi nie mów, ja zaraz lecę na boksy,
będzie reporter z Superaka i ten, wiesz, sesyjka
ocieplania wizerunku. O, widzisz, już jest. No,
witam!

AW – To parkowanie w Warszawie to jakiś dra-
mat, musiałem drałować z trzysta metrów.

PSz – Kolejny powód, żeby wy*ierdolić tego
pi*dokleszcza Czaskiego. Siadaj, siadaj. To Mi-
chał Lubomirski. Michale, poznajcie się. Adrian
Wyczha z Południa. Dobra, do rzeczy, bo się
ściemnia. Adrianu, ty już wiesz, co i jak. Tutaj
Michał obiecał, że załatwi sprawę z twoją żoną,
no a co do kasy, to poprawka już się pisze, i nic
się nie martw, zaraz klepniemy.

AW – Świetnie.

ML – No dobrze, ale ty nam możesz zagwa-
rantować, że to wszystko załatwisz jak trzeba,
na czysto? Bo potem będą jakieś ch*je-muje,
jakieś cyrki w mediach.

AW – Tak, spokojnie, zrobimy tak, żeby wyglą-
dało na awarię z powodu systemowych zanie-
dbań.

ML – Czaskiego?

AW – No, tak, tak.

ML – Elegancja Francja. Tylko to jakoś pod ko-
niec września, bo tam konusy z Platformy szy-
kują na pierwszy października Czaskiemu in-
augurację tego ruchu.

PSz – Dobra, ch*j tam z tym ruchem, już my
go zaraz wy*uchamy, co nie, Adrianu?

AW – No, tak, tak.

ML – A kto to zrobi? W sensie – fizycznie.

AW – Mam pewniaka.

ML – Czyli?

AW – Marian Czajka. Gość jest pod ścianą. Nie-
dawno prosił o podwyżkę, samotny ojciec...
Nie odmówi.

ML – Dobra, ale żeby nas nie sypnął.

AW – Spokojnie, nie sypnie.

PSz – No, no, Michaś, spokojnie. A jeszcze mu
przykleimy (niewyraźne). Żeby się nie rozhulał,
ten nasz kałowy Herostrates.

ML – Uhuu.

AW – Kto to jest (niewyraźne)?

PSz – Anioł stróż. No, to co, wszystko ustalone,
nie? Możemy spie*dalać?

ML – Ta, ta. Zawijamy się. I jesteśmy w kontak-
cie.

AW – Panowie, a co z kolacją?

PSz – Nie krępuj się. Im więcej zjesz, tym wię-
cej wysrasz, a każde warszawskie gówno teraz
służy naszej sprawie, nie? Polecam ośmiornicz-
ki. No, to hejka.

[transkrypcja rozmowy z Pawłem Czajką w pro-
gramie „Dzień dobry na śniadanie” z 10.05.2015,
wyciąg]

Marcin Kop – Drodzy widzowie, mam nadzie-
ję, że rozbudziliście się i powitaliście ten fanta-
styczny wiosenny dzień filiżanką pysznej ka-
wusi. Dziś pokażemy wam, jak kunsztownie
zastąpić neseser serem, a także odpowiemy na
pytanie, czy warto kotlet, jabłka i kierunki. Na
początek jednak chciałbym przedstawić pań-
stwu naszego szacownego gościa. Z nami jest
prawdziwy celebryta, Paweł Czajka, syn Ma-
riana Czajki, słynnego zamachowca, najbar-
dziej kontrowersyjnego człowieka ostatnich
miesiący, pierwszego Polaka od czasów Lecha
Wałęsy, którego zdjęcie znalazło się na okład-
ce prestiżowego magazynu „Time”. Czyż to nie
fantastyczne?

Paweł Czajka – Może nie użyłbym akurat tego
słowa...

MK – Dzięki czynowi ojca niemal z dnia na
dzień zyskałeś olbrzymią sławę. Za sławą zwy-
kle idą pieniądze, a pieniądze to popularność.
Jak sobie z tym radzisz?

PCz – Mierzę się z hejtem. Byłem i jestem poni-
żany przez rówieśników w internecie, mojego
ojca nazywają Kałowym Kmicicem, Mańkiem
Rozpylaczem, mówią, że to Wujek od Dwójek,
Czajka Brązowawa, Fekalny Dywersant, Wielki
Skatolog. Teraz są wakacje, nie muszę wracać

do szkoły, ale i tak boję się wychodzić z domu, szczególnie, że sprawa nabrała politycznego charakteru. To nie jest dobra sława, bardzo słono za nią płacę...

MK – No, no, kolego, nie kokietuj! Wiemy skądinąd, że jeśli ktoś komuś płaci, to raczej producenci tobie!

PCz – No tak, to znaczy nie. Zgłosili się do mnie agenci, chcieli wyłącznych praw do ekranizacji historii mojego ojca, ale...

MK – W ogóle się nie dziwię! To będzie hit! Jest w nim wszystko, akcja, szpiegowska intryga, polityka, społeczne tło! Właśnie, właśnie, powiedz, jak zareagowałeś na ujawnienie nagrań rozmów ministra i marszałka z szefem twojego ojca?

PCz – Nie byłem zaskoczony, ojciec mi trochę opowiedział, reszty łatwo się domyślić. Ale cieszę się, że to wypłynęło, teraz wszyscy widzą, jak to wyglądało. Nie obchodzi mnie, czy ojciec zostanie skazany. Zasłużył. Nie obchodzi mnie, kim kierowały jakie polityczne motywacje. Obchodzi mnie to, żeby ludzie zrozumie-li, do czego może doprowadzić pogarda klasowa i wykluczenie ekonomiczne. Rządzący, biznesmeni, banki i korporacje traktują nas jak pionki, nasze życie to dla nich...

MK – Ho, ho! Chyba ktoś tu czytał Marksa i Spencengelsa, Engelsa. No, a jednak przyjąłeś zaproszenie do programu, czyli chyba jednak coś tam się w twoim życiu ruszyło, jest to jakiś awans.

PCz – Awans?! O czym pan mówi? Nic pan nie rozumie. Przyjąłem zaproszenie, bo chciałem głośno i wyraźnie powiedzieć, że... Ludzie, wasze sztandary, wasze protesty pod oknami, za którymi decyduje się los mojego ojca, wasze bijatyki – to wszystko jest o życiu człowieka, o moim życiu i każdego z was, nie o partiach, nie o korporacjach, to nasza szansa, ale wy tego nie widzicie. Wy, naród...

MK – No, kochany, piękne słowa, piękne i ważne, ale dostałem podpowiedź z reżyserki, że czas na przerwę reklamową. A po przerwie zobaczymy świnię tańczącą na linie. Dziękuję za rozmowę!

PCz – Nie. Nie ma dziękuję, powiem do końca. Co, uwolnicie teraz Barabasa? Wy, naród–

[notatka służbowa posterunkowego Jana Parysa z dn. 1.07.2015]

W dniu dzisiejszym zostałem skierowany do nadzoru zgromadzenia publ. Liczebność ok. 45-50 tysięcy. Manifestujący wyrażali poparcie dla Mariana Czajki. Agresywnie skandowali antyrządowe hasła, m.in. „Jaki rząd, taki zamach”, „Marian Czajka na ołtarze”, „Rada Ministrów – nasramy wam do tornistrów”, „Który skrzywdziłeś...”, „Premierze, sprzątnij po swoim psie” (ze zdj. min. środ.) itd. W okolicy pl. Trzech Krzyży doszło do spotkania z kontrmanifestacją. Grupa o podobnej liczb. dążyła do konfrontacji, początkowo werbalnej (hasła: „Czajka – jelito grube opozycji”, „Murem za rządem”, „Jaka opozycja, taki zamach” itp.), następnie fizycznej. W związku z ostatnimi wydarzeniami interweniowaliśmy w zdecydowany sposób. Z obu stron padły strzały, straciliśmy kontrolę nad sytuacją. Część manifestantów pobiegła ul. Wiejską i wdarła się na teren Sejmu. Ruszyłem za tą grupą. Ująłem mężczyznę uzbrojonego w łom. Uderzył mnie w głowę, przewracając na ziemię, i zaczął uciekać. Oddałem strzał w nogi, unieruchamiając go. Podbiegłszy, stwierdziłem przerwanie tętnicy udowej. Zastosowałem ucisk i chciałem wezwać ratowników medycznych, zostałem jednak ostrzelany i zmuszony do cofnięcia się w bezpieczne miejsce. Mężczyzna został odciągnięty przez grupę manifestantów na trawnik pod pomnikiem, gdzie zmarł.

[orzeczenie Sądu Najwyższego, przewodnicząca Zofia Janus, 5.07.2015, fragment]

Winny.

[zeznania oskarżonego Czajki Mariana, 19.12.2013–4.07.2015, fragment]

Nazywam się Marian Czajka, urodziłem się 4 maja 1956 roku, mieszkam w Warszawie. Świadomy znaczenia [...]. Przyznaję się do winy. Celowo doprowadziłem do awarii kolektora Południe i katastrofy ekologicznej na Wiśle. Żałuję wszystkiego. Szkód wyrządzonych przyrodzie. Cierpień mojego syna. Chaosu w kraju i śmierci tak wielu osób w zamieszkach. Nie chciałem trafić na sztandary, stać się kością niezgody. Ale nie stać mnie było, żeby tego uniknąć.

[...]

W marcu 2013 roku zwróciłem się do przełożonego, Adriana Wyczhy, z prośbą o podwyżkę. Odmówił. Zacząłem szukać lepiej płatnej pracy. Bezskutecznie. Mam 59 lat.

[...]

We wrześniu 2013 roku Wyczha wezwał mnie do gabinetu, gdzie złożył mi propozycję: podwyżka za celowe przeciążenie systemu odprowadzania wody z kadzi w taki sposób, żeby awaria spowodowała ucieczkę ścieków do rzeki, wyglądając przy tym na efekt wieloletnich zaniedbań miejskiej administracji. Odmówiłem. Wyczha wycofał propozycję. Następne-

go dnia ponownie wezwał mnie do gabinetu i wypowiedział mi umowę o pracę. Poprosiłem o przywrócenie do pracy. Mam syna na utrzymaniu. Jestem sam. Wyczha ponownie przedstawił mi propozycję doprowadzenia do awarii. Już bez podwyżki. Zgodziłem się.

[...]

Potem pojawił się (utajnione) i nie było odwrotu.

[...]

Zrobiłem to w nocy z 17 na 18 września 2013 roku.

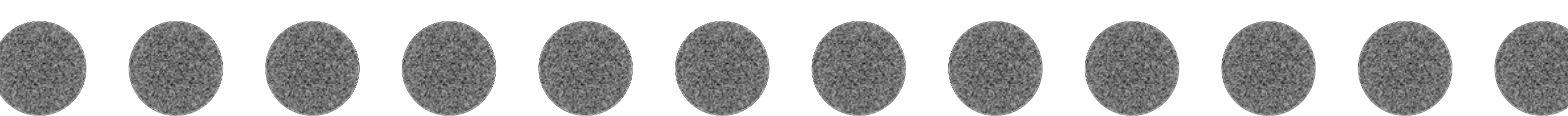
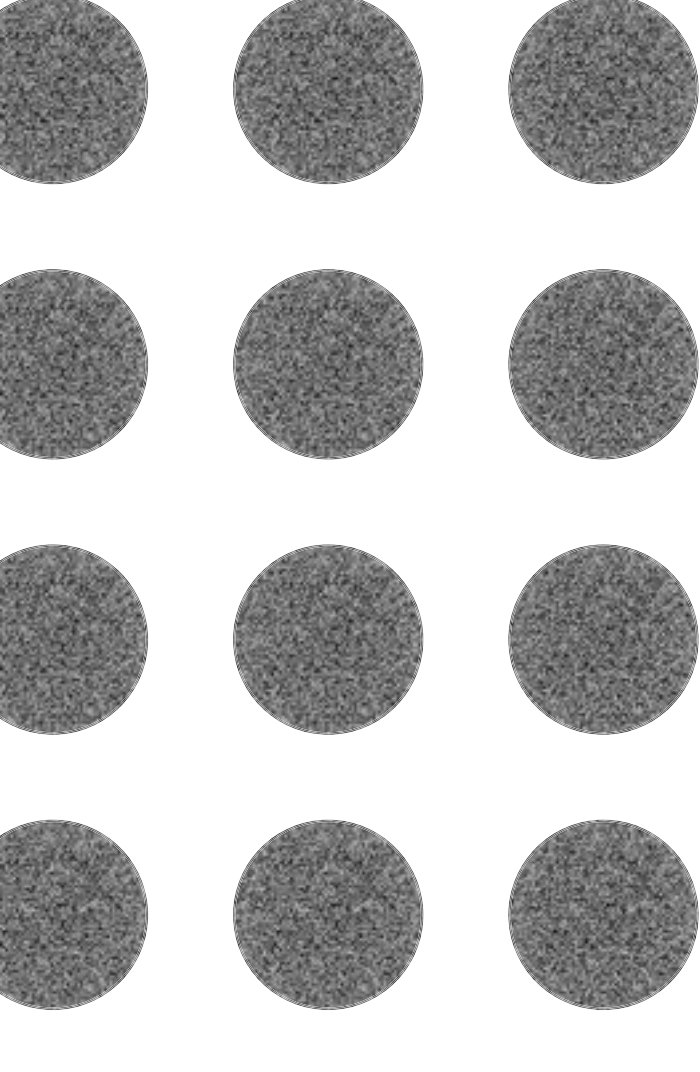
[...]

Najbardziej lubiłem nocną jazdę przez miasto, kiedy było ciepło. Moje rozmowy z jeżami, dźwięk odjeżdżającego autobusu, opon klejących się do asfaltu, a potem ciszę i nagle ogłuszający śpiew ptaków, fiolet nieba i jasną kreskę na wschodzie, gdy wychodziłem z zakładu. Lubiłem proste maszyny i to, co się w nich działo, transsubstancjację najplugawszej cieczy w czystą, jasną wodę.

Lubiłem zapach świeżych bułek z piekarni, kiedy nad ranem wracałem do domu. Ich ciepło i smak, kiedy odrywałem kęsy, idąc. Lubiłem to dziwne światło o świcie.

I oddech syna, śpiącego w swoim pokoju.

Byłem szczęśliwy.



17. Opowiadania

International Short
Story Festival

Siedemnasta edycja organizowanego przez Towarzystwo Aktywnej Komunikacji Międzynarodowego Festiwalu Opowiadania odbyła się na początku września roku 2021 w Kościuszkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej. Na naszej stronie internetowej znajdziesz zapis wideo części rozmów, kilka słów o kontekście oraz fotorelację z wydarzeń.

www.opowiadania.org

dyrektor festiwalu
Marcin Hamkało

kuratorka literacka
Agnieszka Wolny-Hamkało

jury konkursu
Magdalena Piekarska
Darek Foks

koordynacja
Dobromiła Jankowska

produkcja
Paweł Rogowski

promocja i materiały graficzne
Magdalena Basak